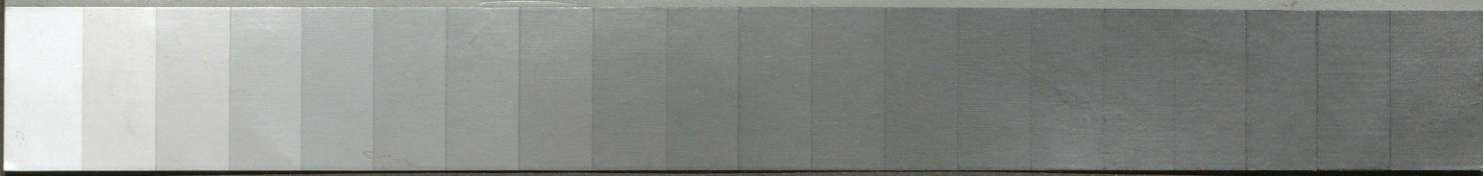


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



31-571
423
Pod



Sztandarem
Wolności

WYDAWNICTWO GŁÓWNEGO KOMITETU
KOŚCIUSZKOWSKIEGO W KRAKOWIE.



31-511
Pod



Sztandarem
Wolności

WYDAWNICTWO GŁÓWNEGO KOMITETU
KOŚCIUSZKOWSKIEGO W KRAKOWIE.

Pod Sztandarem Wolności

opowiadania

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE

I. BAROWA — H. M. DĄBROWOLSKA
H. MORTKOWICZ-OLCZAKOWA
i Z. TUROWSKA

Rysunki: W. BORKOWSKI

Wydawnictwo
GŁÓWNEGO KOMITETU KOŚCIUSZKOWSKIEGO
w KRAKOWIE

DRUKARNIA „WIEDZY”
WROCLAW, UL. WIERZBOWA 30. F 11 503



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



1947 eo 1603/45

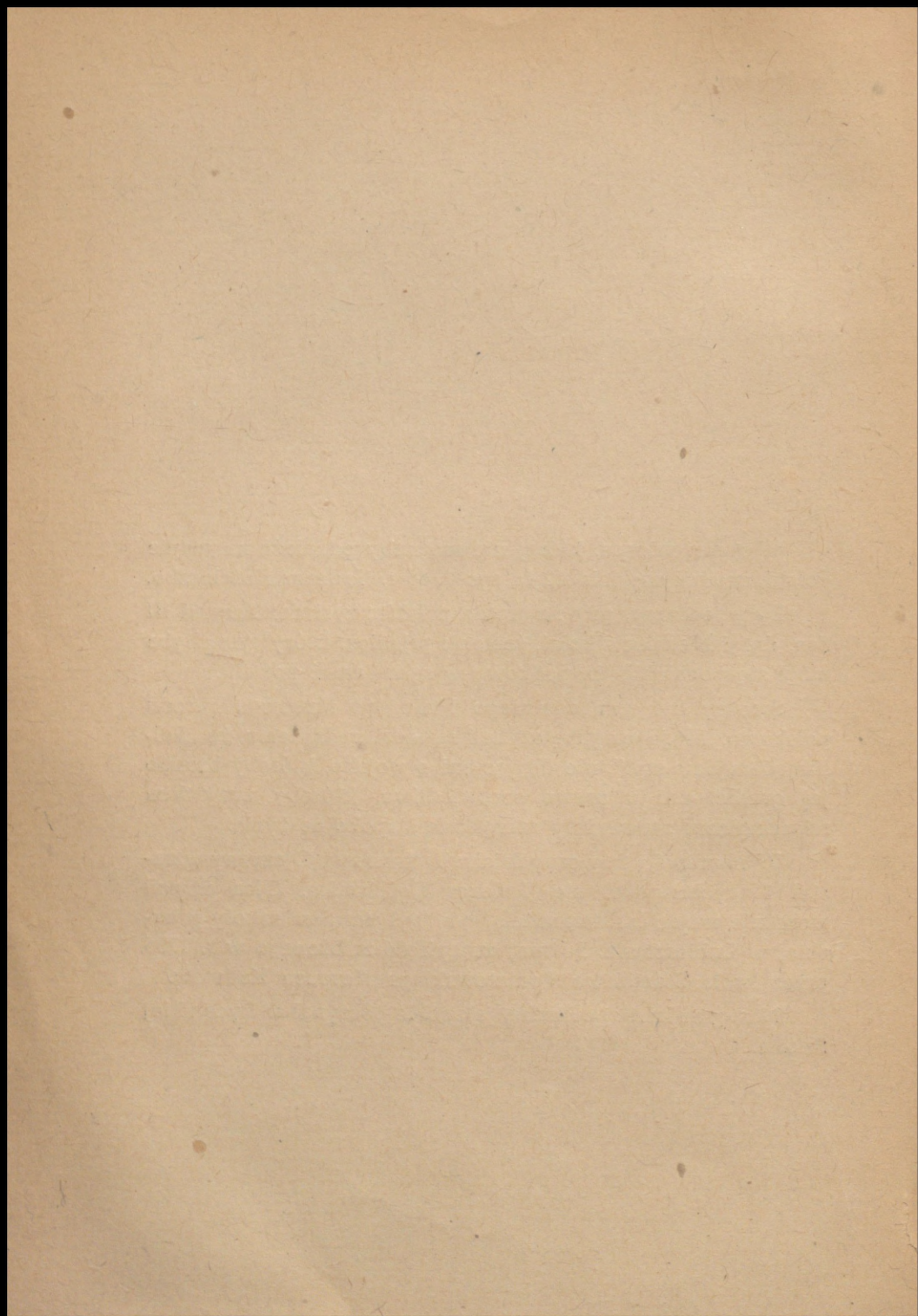
W małej wiosce, której nie możnaby odnaleźć na mapie Polski, urodził się dnia 12 lutego 1746 r. Tadeusz Kościuszko.

Były to czasy, gdy na tronie polskim zasiadał August III Sas, drugi Niemiec z kolei, żarłok i pijanica, który tym chyba mógł się pochlubić, że podkowy w ręku łamać potrafił.

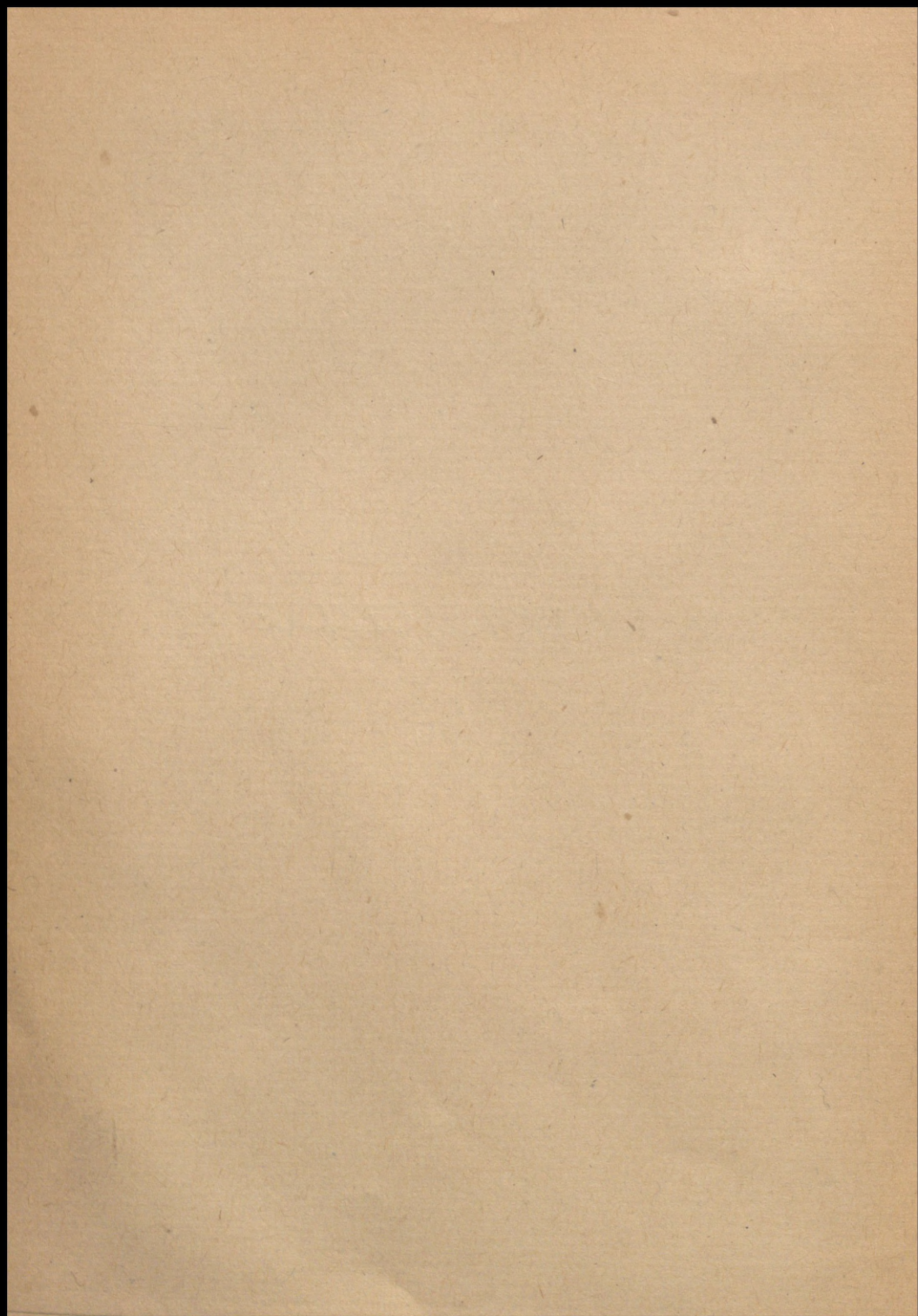
Smutny był stan wielkiego i niegdyś sławnego narodu polskiego. Na jego zgubę czyhali sąsiedzi, radzi temu, że „Polska nierządem stoi”, nie dbając ani o wojsko, któreby broniło jej granic, ani o prawa sprawiedliwe, któreby wszystkim mieszkańcom zapewniały szczęśliwe i spokojne życie.

W naprawdę tragicznych chwilach naszej Ojczyzny wzrastał i wychowywał się Tadeusz Kościuszko. Ojca utracił wcześniej mając lat dwanaście, gdy był uczniem szkoły pijarskiej w Lubieszowie. Później wstąpił do założonego w r. 1765 przez króla Stanisława Poniatowskiego Korpusu Kadetów.

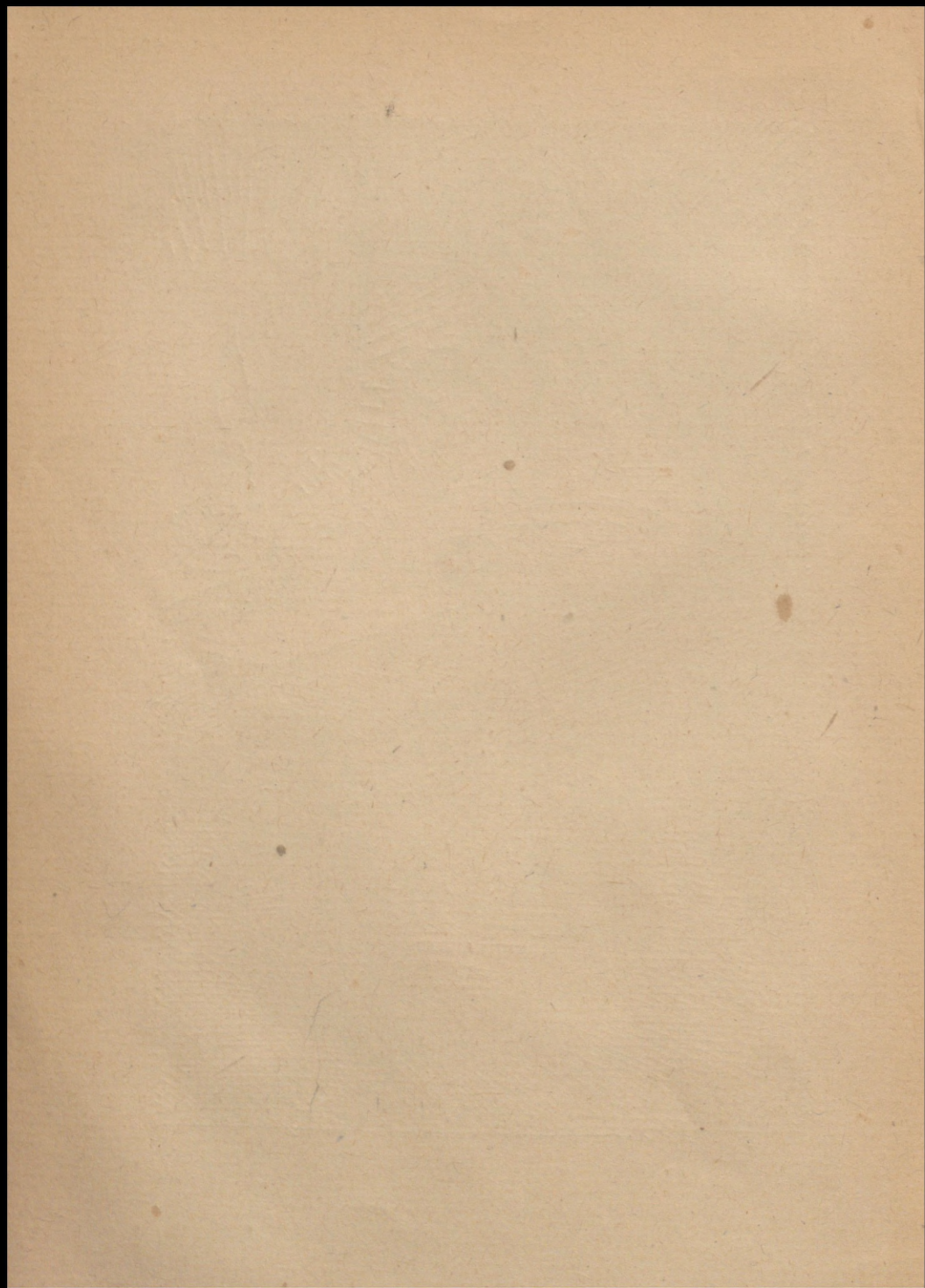
Następne karty powiedzą, jak sobie poczynął w Rycerskiej Szkole.



W RYCERSKIEJ SZKOLE







Grudniowy mróz przesłaniczne kwiaty wymalował na szwach i mocno szczypał zaróżowione policzki chłopca, który szedł obok starszego mężczyzny Placem Zamkowym w Warszawie. Chłopiec ubrany w barani kożuszek i takąż czapkę, spod której wymykały się sploty dość gęstych i długich ciemnych włosów, rozglądał się wokoło.

A było na co patrzeć. Środkiem placu, aż pod samo niebo wyrosła z marmuru kolumna. U jej szczytu stał posąg, król, bo koronę miał na głowie, a płaszcz królewski na zbroi. Miecz w dłoni dzierżył. Od nieba, od słońca z góry spoglądał na stolicę i nad nią czuwał. Szare i białe gołębie podlatując wysoko, jakieś tajemnice gruchały mu w ucho, a że król Zygmunt III milczał, więc spadały chmurą piór na ziemię szklącą od przymarzłego twardo ubitego śniegu ludzkimi stopami i płóznami sań.

— Gru, gru! gro-chul gro-chul! — nawoływały gołębie i skwapliwie, żarłocznie chwytaly rozsypane wokół stojących koni ziarna obroku. Spłoszone znów fruwały w górę, zataczając szerokie kręgi w rozpylonym złocie słońca nad zielonym dachem dużego, piętrowego budynku, który jedną calutką stroną placu zajmował.

— Królewski zamek — powiedział do chłopca jego towarzysz w ciężkiej bobrowej szubie, pan Józef Sosnowski, członek Komisji wojskowej.

— Wspanialszy myślałem... — odrzekł chłopiec, poglądając na budynek jednopiętrowy, długi niepomiernie, z zegarową wieżyczką nad bramą, pod którą stało dwóch wartowników.

Nie mógł się zresztą dokładnie zamkowi królewskiemu napatrzeć, bo szli spieszenie obok wąskich dwu i trójjokiennych z frontu kamieniczek, co pokumały się blisko, jedna drugiej dotykając, a rozsiadły naprzeciw zamku różowe, żółte, niby na odpust postrojone mieszczki.

— Zaraz ujrysz jeden z najpiękniejszych budynków w Warszawie, pałac wybudowany przed stu laty przez króla Jana Kazimierza — mówił pan Sosnowski, — który na szkołę kadetów król Jegomość Stanisław August przeznaczył. Niech wojskowa szkoła ma co najlepsze — postanowił król. Dlatego zebrał nauczycieli najznakomitszych z kraju i z zagranicy. Uczniów też chce mieć co najzdolniejszych, więc chłopcze nie możesz mi wstydu przynieść, przy egzaminie i prezentacji trzeba bystrość okazać należyta. Miejsca w korpusie jest tylko na osiemdziesięciu uczniów, mimo moich zabiegów i starań los rozstrzygnie. Kto lepiej zda egzamin, ten przyjęty zostanie.

— Muszę być przyjęty — pewnym głosem powiedział chłopiec. — Tak, muszę! Do domu nie wróciłbym za nic! za nic...

— Ejże? nie tak znów gorąco — mitygował pan Sosnowski. — Wiem, że ojcowie pijarzy z lubieszowskiej szkoły wystawili ci najlepsze świadectwa, ale egzamin to zawsze egzamin, szczęście też musi dopisać. A nie myśl sobie, że byle jacy kandydaci ubiegają się o pierwszeństwo. Ocho! synowie najlepszych, najmożniejszych pańskich rodów, których najlepsi z pewnością kształcili nauczyciele, panicze bogaci...

— Tym bardziej zdać muszę — powiedział z mocą chłopiec. Wstydu mojemu nazwisku nie przyniosę. I.. i mateńki mej zmartwić nie mogę. Przecież na tę wyprawę sprzedała jałówkę, a prosiaków aż czworo...

— Oj tak, tak, wiem to dobrze, jak ciężko było wdowie, pani Tekli Kościuszkowej, zebrać grosiwo, by cię tu wysłać. Oj, ciężko... i dlatego jako przyjaciel ojca twego, śp. Ludwika, obiecałem, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by cię w poczet kandydatów do egzaminu przystępujących zaliczono.

— Do głębi serca wdzięczny jestem Waszmość Panu — rzekł chłopiec, przeciskając się wśród tłumu jezdnych i pieszych, którzy opatuleni przed zimnem w futra i kaptury tłoczyli się tą i tamtą stroną ulicy.

Przekupki, zawinięte w grube chusty, stojąc przy drewnianych budach straganów, darły się na całe gardło:

— Kiszki! kiszki! kiełbasy — gorące!

— M-niód — mniód, grzany, na kwarty, na dzbany!

Przy straganach żołnierze, pachołkowie i przemarznięci furmani pańskich pojazdów, czekając godzinami na mrozie, raczyli się chętnie miodem i dymiącymi kiszkami. Kilkoro dzieci przypatrywało się cygańskiej bandzie, pokazującej

taniec niedźwiedzia. Brunatny miś, trzymany na mocnym żelaznym łańcuchu przez cygana w czerwonej chuście, niezdarnie podrygiwał w takt grzmiącego bębna.

Za wielkim, szarym kościołem zmniejszyła się ciżba i przycichł tumult.

Chłopiec zamiast lichych bud jarmaczych, zamiast wąskich i krzywych kamieniczek, zamiast opłotków drewnianych i niskich dworów, których tyle widział na przedmieściu Warszawy, ujrzał pałac wspaniały, dwupiętrowy z kopułą pośrodku dachu.

— A oto i twoja, co daj Boże, przyszła szkoła — uroczyście oznajmił pan Sosnowski, na pałac wskazując.

Trzy ogromne okna na froncie biegly przez całą wysokość pierwszego i drugiego piętra. Na szczycie kopuły wielki orzeł rozpościerał szeroko, szeroko skrzydła. W podwórzu prócz głównego budynku były jeszcze na prawo i lewo piętrowe zabudowania, przeznaczone na mieszkania dla kadetów i nauczycieli.

Pan Sosnowski z chłopcem weszli po schodach w głąb głównego gmachu. Nie byli pierwsi. W sieni i korytarzu na piętrze wielu czekało chłopców małych jeszcze dziecięco i dziesięcioletnich, aż do młodzieńców, liczących siedemnaście i osiemnaście lat, pod wąsem już, rostrych i silnych.

— Poczekaj — rzekł do chłopca pan Sosnowski. — Dowiem się, kiedy twoja kolej.

To mówiąc znikł za drzwiami z napisem „Kancelaria”. Wrócił po chwili.

— Za godzinę, może dwie nawet egzamin. Przyjdę po ciebie, a teraz muszę moje sprawy w mieście załatwić. No, ostań z Bogiem — to mówiąc serdecznie chłopca uściskał, a ten do ręki mu się pochylił, wdzięczności pełen za opiekę i pomoc i przewodnictwo w nowym, nieznanym świecie. Odszedł pan Sosnowski, a chłopiec usiadł na ławce pod ścianą.

— Boisz się bardzo? — zagadnął go zaraz siedzący obok jasnowłosy, chudy młodzieniec, któremu ręce drżały jak w febrze.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł chłopiec.

— Pytam, czy się boisz egzaminu? — powtórzył jasnowłosy.

— Nie wiem, o czym mówisz. Nie znam wyrazu: bać się. Prawdziwy, dobry Polak nie zna co to lęk, nigdy tchórzem nie będzie.

— Oo! — z podziwem wykrzyknął młodzieniec. — Jestem przecież Polakiem, a boję się, boję się tak strasznie tych profesorów, tych pytań, tego całego egzaminu...

— Boisz się egzaminu? I chcesz być kadetem?! Chcesz być żołnierzem, oficerem, obrońcą Polski! Jeśli się tak bardzo boisz, to po co w ogóle przyszedłeś tutaj. Trzeba było zostać w domu.

— Przeszedłem, bo chcę mieć piękny kadecki mundur z czerwonymi wyłogami. Chcę zostać oficerem. I zresztą w domu nie bałem się wcale, dopiero tutaj, teraz tak mi dziwnie... Wiesz, nie potrafię odpowiedzieć na żadne pytanie. Mam pustkę w głowie...

— Ejże! A dwa razy dwa?

— Cztery.

— Do jakiego morza wpada Wisła?

— Do Bałtyku.

— Kogo zwyciężył Stefan Czarniecki?

— Szwedów — odpowiadał jasnowłosy chłopak.

— No, widzisz, nie masz ani pustki, ani wody w głowie.

Odpowiedziałeś mi na wszystkie pytania.

— Tak, na takie łatwe!

— A skąd wiesz, że będziesz miał trudniejsze? Zresztą jeśli cię strach obleci, to radzę ci, pomyśl sobie zaraz o Tymoleonie, a nie będziesz się bał wcale.

— O Tymoleonie?... — powtórzył jasnowłosy młodzieniec.

— Tak, Tymoleon to... — zaczął mówić chłopiec, widząc, że sąsiad jego nie wie, o co chodzi, gdy otworzyły się drzwi naprzeciwko. Mały, szczupły człowieczek, mający na głowie zafryzowane, odstające pukle włosów, niby wielkie skrzydła, wychylił się na korytarz i zawołał:

— Wojciech Konarski!

— Jestem — odparł jasnowłosy młodzieniec i zerwał się natychmiast z ławki.

— Pamiętaj! Tymoleon! — rzucił za nim jeszcze chłopiec i drzwi naprzeciw znów się zamknęły.

Mijały minuty za minutami. Drzwi wciąż były zamknięte. Wreszcie otworzyły się. Jasnowłosy młodzieniec ukazał się znów. Twarz miał uśmiechniętą, rozpromienioną.

— Jestem przyjęty! Przyjęty — zawołał i rzucił się w ramiona chłopca, całując go serdecznie w oba policzki. — Nazywam się Wojciech Konarski — paplał szybko.

— Tadeusz Kościuszko — przedstawił się z kolei chłopiec, przyjaźnie spoglądając na towarzysza swymi dużymi, smutnymi oczyma.

A tamten mówił szybko:

— Zdałem tylko dzięki tobie. Wyobraź sobie, wchodzę do sali. Ogromna. A za stołem zielonym suknem zasłanym siedzą oni. Księżę generał Adam Czartoryski, komendant szkoły... dwaj oficerowie, dwóch księży, a świeckich profesorów czterech chyba. I wszyscy we mnie utkwili wzrok. A pode mną kolana znów drżą, jakbym był z galarety, a tu zza stołu pyta jeden: Kandydat Konarski urodzony... I wiesz mam pustkę w głowie. Aż tu cud! przypomniałem sobie twoje magiczne słówko: Tymoleon! i już od razu wszystko potem wiedziałem, wszystko o co mnie pytali. Ale powiedz, powiedz proszę, co to za zakłęcie ten Tymoleon...

— Tadeusz Kościuszko! — padło tymczasem z otwartych drzwi naprzeciw. Chłopiec wstał z ławki i znikł za nimi.

Wyszedł po długiej chwili. Na jego bladej twarzy malowało się głębokie zamyślenie.

— Zdałeś? — spytał go Wojciech Konarski.

— Tak, jestem przyjęty jako przedostatni, na siedemdziesiąte dziewiąte miejsce.

— I nie cieszysz się wcale? Nie cieszysz...

— Tak, jestem rad, — poważnie rzekł Kościuszko, — ale wolałbym być nie przedostatnim.

— Wydaje mi się, że będziesz tu wkrótce pierwszy — gorąco powiedział Wojciech Konarski.

I nie pomylił się wcale.

Od chwili przyjęcia Tadeusza Kościuszki dnia 18 grudnia 1765 r. do szkoły kadetów minął rok. W sobotnie popołudnie zebrani w klasie nowicjusze, to znaczy ci uczniowie, którzy nosili kadecki mundur, ale nie mieli jeszcze prawa mieć broni, czytali napisaną przez komendanta szkoły Adama Czartoryskiego książeczkę zatytułowaną „Katechizm moralny dla uczniów korpusu kadetów”. Były to pytania i odpowiedzi. Oficer pilnujący porządku w klasie powiedział, że muszą wszyscy umieć książeczkę na pamięć. Na wszystkie pytania w niej zawarte znać odpowiedzi.

— Na przykład na pytanie: Jaki powinien być kadet? trzeba odpowiedzieć — mówił oficer — tak:

„Kadeta powinien mieć miłość, bojaźń Boga i przywiązanie do religii przed oczyma, powinien Ojczyznę swą kochać i jej

dobro nade wszystko i sposobić się do tego, aby się mógł poświęcić na jej usługi, powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnich, dobroczynności i afektu dla równych, względu dla niższych...”

— A może który z was chłopcy powie mi, co to jest Ojczyzna i dlaczego ją mamy kochać — rzucił pytanie klasie.

Chłopcy milczeli. Po chwili w kącie klasy podniosła się w górę jedna ręka.

— Kościuszek! — wywołał oficer. — Mów! — rozkazał.

— Ojczyzna to kraj, to ziemia, na której się urodziłem, której językiem mówię, jak moi bracia i siostry, to miasta i wioski, to domy nasze, drzewa i kwiaty. Kochać mamy ją dlatego, bo ona nas żywi, odziewa, bo ona kryje groby naszych bliskich, pradziadów, dziadów i ojców naszych, bo człowiek, któryby stracił swą Ojczyznę, byłby na świecie tułaczem prawdziwym. I dlatego my młodzież musimy się sposobić na jej usługi, bronić jej, osłaniać przed wrogami... — kończył wzruszonym głosem chłopak. Nigdy jeszcze nie mówił tak wszystkim w klasie tego, co w tej chwili, ale myślał, myślał nieraz o tym, że jego Ojczyzna, Polska, jest bardzo nieszczęśliwa...

— Ładnie to powiedziałaś — pochwalił go oficer. — Myślę, że składając rycerskie przyrzeczenie kadeckie będziecie o tym pamiętali chłopcy.

— Będziemy! — odpowiedziała klasa.

Zabrzmiał werbel bębna. Zerwali się na ten znak z ławek. Szybko schowali Katechizm kadecki do szuflad i wybiegli na wielkie podwórze, aż hen ku samemu brzegowi Wisły na musztrę.

— Równaj! Naprzód marsz! — brzmiały słowa komendy i za chwilę ku niebu popłynął śpiew. Leciała daleko aż za wiślane fale melodia. Dzwoniła echem wśród ulic Warszawy. A ludziska przechodzący Krakowskim Przedmieściem przystawali, by posłuchać.

— Słyszycie, kadeci śpiewają! Kochani chłopcy! — powtarzali.

Ten i ów, gdyby nie groźnie wyglądający kadet-wartownik przed bramą, to z ciekawości wielkiej radby nawet na podwórze koszar zajrzeć i z bliska podziwiać dziarską postawę młodzieńców. Nic też dziwnego, gdy rozeszła się po mieście wiadomość, że w niedzielę nowicjusze przyrzeczenie kadeckie będą składać, do szkoły pospieszili ich rodzice, krewni i znajomi, by przyjrzeć się uroczystości i swoim bliskim winażować.

W kaplicy zapach kwiatów mieszał się z wonią kadzidła. Na ołtarzu płonęły świece. Kadeci ubrani w długie, odświętne mundury ustawili się w dwa rzędy zostawiając pośrodku swobodne przejście. Tędy przemaszerowali nowicjusze, to znaczy ci, którzy mieli składać rycerskie przyrzeczenie i otrzymać szablę.

— Idą, idą — przeleciał szept wśród zebranych, gdy do kaplicy weszło kilkunastu młodzieńców. Granatowe nosili mundury z amarantowymi wyłogami. W pierwszym szeregu kroczył Tadeusz Kościuszko. Przykłęknął słuchając uroczystej mszy świętej i przemówienia kapelana. Po skończonym nabożeństwie zabrzmiały bębny. Kadeci ruszyli do olbrzymiej sali na pierwszym piętrze, o trzech ogromnych oknach. Rozpoczęła się główna uroczystość.

Tadeusz Kościuszko ubrany w nowiuteńki mundur usłyszał z ust gefrejtera, t. j. dowódcy kompanii pytanie: — Czego Waćpan żądasz?

Odparł tak, jak nakazywał zwyczaj bez zająknienia:

— Byłem tak szczęśliwy, że mnie osądzono godnym noszenia munduru korpusowego, stawam teraz z prośbą, żebym był uzbrojony.

— Czy masz Waćpan szczere przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę Ojczyzny swojej i swego honoru? — brzmiało nowe pytanie.

— Nie inne jest przedsięwzięcie moje — odparł Kościuszko.

Zabębniły bębny. Kadeci prezentują broń. Sam komendant korpusu, Adam Czartoryski, szablę przypasowuje Kościuszce do boku i karabin podaje mu do ręki, a młodzieniec wzruszony powtarza słowa uroczystego ślubowania:

„Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępkami mymi ich nie zawstydzę, ani też nowicjuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w nauce lub zaniedbanie powinności moich.“

— Obiecujesz mi Waćpan, że w pamięci będą u niego przyrzeczenia, któreś tu dał? Imieniem brygady i moim pytam cię o to — mówił Adam Czartoryski.

— Przyrzekam na honor — głośno i pewnie odparł Kościuszko, sprezentował broń i stanął w kadeckim szeregu.

Po chwili obok niego powtórzywszy tę samą rotę przyrzeczenia zajął miejsce Wojciech Konarski. Tymczasem dalej padały słowa rzyrzeczenia, powtarzał je dwudziesty z kolei



kadet. I zabrzmiał znów werbel. Wszyscy, cały korpus prezentował broń, aż padł rozkaz:

— Rozejść się!

Rozbiegli się chłopcy. Rodzice, krewni, znajomi ściskali i całowali nowo zaprzysiężonych kadetów. Do Kościuszki podszedł pan Konarski, ojciec Wojciecha i serdecznie ścisnął mu rękę mówiąc:

— Dziękuję Waćpanu za pomoc, jaką okazałeś w naukach mojemu synowi.

— Nie moja zasługa... — skromnie odparł Kościuszko. — Tymoleona... — i oddalił się spiesznie.

— Tymoleona? Wojcieszku, a kto to znowu? — zwracając się do syna pytał pan Konarski. — Powiedz, kolega, profesor, kto taki? Nigdy mi o nim nie wspominałeś...

— Nie wspominałem, bo, boo... — jękał zmieszany nieco Wojtek... — bo to zaklęcie takie...

— Zaklęcie? A bój się Boga! jakież znów zaklęcie? Toż to wstyd, że ty wykształcony młodzieniec, jak zabobonnik jakiś w zaklęcia, w magiczne jakoweś słowa wierzysz...

— Kościuszko mi powiedział — starał się usprawiedliwić Wojciech i powtórzył ojcu całą scenę, jaka mniej więcej przed rokiem rozegrała się na korytarzu szkoły przed egzaminem.

Wysłuchał pan Konarski syna i głową pokręcił.

— A ja ci i tak mówię, że to słowo coś oznacza. Na greckie mi imię wygląda. Kościuszkę musisz zapytać, a dziwię się tylko, żeś tego dotąd nie uczynił...

— Zrobię to zaraz — zawołał Wojtek, który nie mógł długo bez Tadeusza się obejść i pobiegł teraz rad go szukać.

Nie łatwa to była sprawa znaleźć jednak Kościuszkę wśród tego tłumu obcych osób, wśród królewskich szambelanów i oficerów, postrojonych pań i panów, którzy czekali na zapowiedzianą zabawę z tańcami.

Gdy koledzy rozglądali się wśród pańienek szukając piękniejszej i zgrabniejszej tancerki, albo opowiadali rodzicom o swoim pobycie w szkole, Tadeusz w pustej klasie, wśród swoich książek i rysunków ulubionych fortyfikacji czegoś szybko, pośpiesznie szukał. Aż wreszcie znalazł. Cwiartkę papieru żółtawego z czerwoną pieczętką lakową: list matczyny.

„Dziecię moje najmilsze! — czytał i łzy wzruszenia napływały mu do oczu. — Jestem w Brześciu na kuracji — pisała matka. Tadeusz westchnął. Niepokój ścisnął mu serce.

— Biedna mama... Chora... Nie widzi tej uroczystości. Mój Boże, a jakby się cieszył! Jakby się bardzo cieszyła. Zaraz muszę do niej napisać.

Pod drzwiami zadudniły czyjeś kroki. Tadeusz raz jeszcze rzucił spojrzenie na list i wpadły mu w oczy ostatnie słowa: „Pozostaję Waszmość Pana Życzliwą Matką”.

Ledwie papier między książki wsunąć zdołał, gdy do klasy wpadł Wojtek.

— Gdzież ty się chowasz? Całą szkołę za tobą przetrząsam, a ty już widzę nos w książce zapchałeś. Oj, Tadeuszu! Tadeuszu! — jak tak dalej będzie, to prymusem zostaniesz i oficerskich szlif rychło się dosłużysz.

— A ty nie chciałbyś? — spytał poważnie Kościuszeko.

— Pewnie, żebym chciał, tylko, rozumiesz, nie jestem taki jak ty.

— Jak Tymoleon — chciałeś rzec.

— O właśnie, właśnie. Na śmierć byłbym zapomniał, że po to cię szukałem Wyobraź sobie: mój ojciec nie daje mi spokoju z Tymoleonem, tylko się dopytuje i dopytuje. Powiedziałem mu, że to takie zakłęcie, a on, że greckie imię.

— I miał rację. Tymoleon to grecki bohater, prawdziwy bohater. Pokonał i precz wypędził tyranów, złych okrutników, którzy ciemnili lud. Kazali ludowi ciężko pracować, bili i głodzili robotników, zabijali tych, co już sił nie mieli do pracy, więzili tych, którzy starali się im sprzeciwić. Tymoleon wystąpił przeciwko tyranom. Zgromadził wokół siebie najdzielniejszych, najwaleczniejszych Greków. Wypędził tyranów. Zamek, w którym katowali bezbronnych i niewinnych obywateli, zburzył i pobudował nowe gmachy w tym miejscu, gdzieby się mógł gromadzić lud i prawa sprawiedliwe dla wszystkich stanowić. Ocho, Tymoleon był tak odważny, że nie uląkł się 70 tysięcy wojska nieprzyjacielskiego, które nadciągnęło, by zawojować jego ojczyznę. Sam wprawdzie miał 5 tysięcy żołnierzy, ale potrafił tamte chmary nieprzyjaciół pokonać, zwyciężyć. Ale to nie najważniejsze, że Tymoleon był znakomitym wojownikiem... Nie, to nie najważniejsze...

— A co? Co najważniejsze? Cóż jeszcze większego mógł uczynić? — spytał Wojtek.

— Uczynił dla swej ojczyzny coś znacznie większego. Wypędziwszy jej nieprzyjaciół, nakłonił obywateli do uchwalenia mądrych i sprawiedliwych praw. Biedny czy bogaty, kupiec czy chłop, żołnierz czy nauczyciel, prostak czy mę-

drzec, każdy mógł spokojnie pracować bez obawy więzienia i chłosty, jeśli żył uczciwie. Tak, Tymoleon sprawił, że nikomu, najbiedniejszemu nawet nie działa się krzywda. I sam dla siebie nic nie chciał od narodu, któremu zwrócił wolność, mówiąc, że nic nad nią nie potrzebuje i dlatego tak mi się podoba Tymoleon, dlatego chciałbym go naśladować — mówił z ogniem w oczach Kościuszko.

— Tak, powinniśmy go naśladować, ale to bardzo trudno — powiedział Wojciech Konarski, gdy otworzyły się drzwi i do klasy wszedł niski, chudy człowieczek, w czarnym ubraniu i atlasowej kamizelce, w białej peruce na głowie, odstającej nad uszami niby skrzydła nietoperza. Stąd też chłopcy przezywali go po prostu Gackiem. Był to dyrektor szkoły, sławny na cały świat uczony matematyk Pfleiderer. Widząc go tak niespodziewanie Kościuszko i Konarski stanęli w pełnej uszanowania postawie na baczność. On zaś skinął im siwą, ufryzowaną głową i powiedział:

— Komunikuję Waszmość panom, że jutro wartę honorową u tronu w sali sejmowej obaj na życzenie króla Jegomości Stanisława Augusta zaciągnąć macie. Szczegółowych instrukcji generał Wojna udzieli. U niego zameldujcie się jutro rano o ósmej godzinie w galowych mundurach — powiedziawszy to dyrektor odszedł.

Obaj chłopcy przez chwilę patrzyli na siebie. I jak na komendę padli sobie w ramiona.

— Zobaczymy króla Jegomości i stany! A też to siurpryza prawdziwa! A też niespodzianka! To zaszczyt! — wołali na przemiany, uradowani bardzo i bardzo obaj szczęśliwi. Przecież to było marzeniem każdego kadeta wartę honorową u tronu trzymać. Raz bodaj z bliska nie tylko króla, bo ten często szkołę wizytował, zobaczyć, ale cały majestat Rzeczpospolitej, wszystkich senatorów i posłów i cały rząd, dwór królewski, najznakomitszych ludzi, jacy w Polsce wówczas żyli.

— Hurr! Hurr! — krzyczał Wojtek i wyskoczywszy na ławkę huknął pełną pierśią, na cały głos:

— Niech żyje król Jegomość Stanisław August! szef korpusu kadetów!

— Niech żyje! — wiwatował Kościuszkol

Krół istotnie był szefem korpusu kadetów, komendantem ustanowił Adama Czartoryskiego. Pragnął, by młodzieńcy nie tylko z książek nabywali wiedzy o kraju ojczystym, ale by od młodości nabrali pojęcia o sprawach państwa polskiego

najważniejszych, więc wprowadził zwyczaj, że wyznaczeni zwykle najzdolniejsi, najlepsi uczniowie szkoły kadetów pełnili wartę honorową przy tronie na sali sejmowej. Mogli zobaczyć na własne oczy, jak się odbywają sejmowe narady, jak wygląda zgromadzenie tych, którzy prawa stanowią i o losy, o przyszłość narodu całego się troszczą.

— Przecież kiedyś, gdy dorosną — mawiał król do generała Czartoryskiego — ci chłopcy również w sali sejmowej zasiądą. Niejeden z nich może ministrem zostanie. Niech słuchają więc, niech patrzą, niech się uczą od młodych lat, jak o dobro kraju dbać trzeba.

Lotem ptaka rozniosła się zaraz po całej szkole wiadomość, którzy to kadeci wartę honorową mają nazajutrz przy tronie sprawować. Winszowano obu tego wyróżnienia. Winszowali koledzy i profesorowie, niektórzy z kolegów z prawdziwą spoglądali na nich zazdrością.

— A pamiętajcie uważać i słuchać dobrze i zapamiętać wszystko — przestrzegali. — Musicie nam tu relację złożyć, opowiedzieć dokładnie — upominali nazajutrz rano, nim Kościuszko i Konarski zapukali do drzwi generała Wojny.

Łatwo to było powiedzieć — zapamiętajcie wszystko!

Ubrani w paradne mundury, białe ze złotymi wyłogami, w hełmy zakończone czubem piór strusich, znaleźli się obaj kadeci w sali obrad dość wcześnie przed królewskim przybyciem.

Sala była ogromna, na kolumnach rzeźbionych, drzewa palmowe naśladowujących wsparta. Ściany miała zdobne malowidłami, wśród których Kościuszko rozeznał herby niektórych województw. Naokoło ścian, mniej więcej w połowie ich wysokości ciągnęła się galeria dla widzów przeznaczona. Dołem stały drewniane, malowane szaro ławki dla posłów, ustawione rzędem aż pod ściany. Przed ławami na przedzie czerwieniły się karmazynowym obite aksamitem krzesła dla senatorów. Naprzeciw drzwi wejściowych w głębi wznosił się królewski tron na podwyższeniu, także cały aksamitny, karmazynowy i kapiący ozdobami złotych galonów. Krzesło tronowe miało pięknie rzeźbione wysokie poręcze, a w górze nad nim złoty, jak w kościele, mienił się baldachim.

Posłowie schodzili się powoli. Każdy miał uniform swego województwa. Po barwach kontuszy poznać można było posłów jednej ziemi, którzy zwykli trzymać się razem. Nie wszyscy jednak nosili niebieskie, czerwone, zielone, z wyło-

tami kontusze, nie wszyscy przepasani byli haftowanymi, litymi złotem, kwiecistymi pasami słuckimi i mieli przy boku karabele, — niektórzy już ubierali się z francuska, krótko, obcisłe. Aksamitne spodnie i haftowane fraki i fryzowane peruki nosili przede wszystkim dworzanie, naśladowający gust króla, który cudzoziemską popierał modę.

Przybył wreszcie marszałek sejmu trzymając na znak swej godności laskę z lichego białego drzewa. Najpierw zaczął przeglądać posłów — ustawiając ich w lepszym porządku, odbierając zapowiedzi przemówień. Również galeria zapełniła się widzami. Kadeci zobaczyli naprzeciw tronu mnóstwo dam ubranych w atlasowe suknie, w naszyjnikach z pereł i brylantów. Klejnoty błyszczały w promieniach słońca padającego przez szyby smugami tęczy na salę.

Zjawili się także senatorowie. Każdy prawie miał order na piersi. To order Orła Białego, to św. Stanisława, to oba razem. Na sali było coraz hałaśliwiej i gwarniej. Z wybiciem na zegarowej wieży godziny jedenastej na całą szerokość otwarto drzwi naprzeciw tronu — nagle uciszyły się głośne rozmowy, zmiłkły szepty. Powstali wszyscy z miejsc — na salę wszedł król ze swoim orszakiem, z ministrami, kanclerzem, i kilkoma spośród senatorów.

Kadeci wyprężeni w postawie na bacność prezentując broń stali u stopni tronu nieporuszeni jak posągi.

Król skinął parę razy na powitanie wszystkim głową, do ręki wziął lornetkę, po zebranych się rozejrzał i usiadł.

Obok niego tuż przy tronie miejsce zajął z jednej strony kanclerz, a po prawicy na senatorskim krześle zasiadł prymas, Michał Poniatowski, brat królewski, w kosztowne ubrany fiolety, w koronki najdelikatniej tkane, za nim sześciu jeszcze, czy pięciu siedziało biskupów-senatorów. Dwaj ministrowie, którzy byli obok kanclerza, laskami stukali o podłogę, ile razy miało się coś zacząć.

Stuknęli pierwszy raz. Na sali zjawili się deputowani, czyli członkowie najwyższego sądu. Jeden z nich mowę odczytywał długą, spisaną na wielkich arkuszach.

Kanclerz na mowę odpowiedział z pamięci, a potem deputowani zbliżali się do tronu, na znak hołdu rękę całowali królewską i odeszli, dowiedziawszy się ze słów kanclerza, że dopiero nazajutrz sprawy sądowe rozpatrywane będą.

Potem białą laską marszałek trzykrotnie stuknął, wyszedłszy na środek sali i odczytał nazwiska posłów zapisanych do przemówień.

Król przez cały czas to bawił się brylantową gwiazdą lśniącą na błękitnej wstędze, którą był przepasany, to sięgał do maleńkiej tabakierki i koronkami obszytą chusteczką nos pccierał.

Kościuszko stojąc obok tronu bliźniutko dokładnie się przyjrzał zmęczonej, bladej, pięknej, jakby w marmurze rzeźbionej twarzy Stanisława Augusta. Miękkie niemal kobiece rysy, bez śladu męskiej, silnej woli wyrażały dobroć, ale jednocześnie niepewność jakąś i wahanie.

Zapamiętał Kościuszko dobrze, że król ubrany był w mundur generalski, biały ze złotem, że na piersiach prócz brylantowej gwiazdy nosił order św. Stanisława, a na palcach miał takie mnóstwo pierścieni, jak największa strojnisia.

Tymczasem zabierali głos posłowie. Niektórzy mówili z pamięci, głośno, wyraźnie, jasno przedstawiali, że trzeba zwiększyć podatki, że musi być fundusz na wypłatę żołdu wojsku. Inni prawili na pół po polsku, na pół po łacinie, gadali, gadali — a właściwie nie można było początku z końcem związać, sensu się dorozumieć. Kościuszko chciał sobie te przemówienia spamiętać, bo przecież wiedział, że koledzy nie darują i pytaniom nie będzie końca.

I nie mylił się wcale. Ledwie pojawili się w koszarach, zdążyli rozebrać z mundurów paradnych i trochę zupy piwnej mąką zabielaanej przełknąć, gdy obskoczyli ich kadeci dokoła, pytając na wypróżdki:

- A jak wyglądał król jegomość?
- Ilu było posłów na sali?
- Gdzie siedzieli senatorowie?
- Który z posłów mówił do tronu?
- O czym radzono?

— No gadajcie! Na miły Bóg gadajcie! — ryczał niemal starając się wszystkich przekrzyczeć Orłowski, znany ze swego malarskiego talentu.

Kościuszko rękę podniósł w górę.

— Jakże mamy opowiadać, kiedy do słowa przyjść nam nie dajecie. Słyszac taką wrzawę wydaje mi się, że jeszcze jestem na sali poselskiej, bo wiecie, tam niestety jak się pogodzić nie mogą, to także nawzajem przekrzyczeć się starają aż marszałek laską uderzając musi uciszać panów posłów.

— Kłóćą się? — powiedział Orłowski, gdy Kościuszko zamilkł na chwilę. — O co, o co dzisiaj się kłócili?

— Jak wyrozumiałem z długich i łaciną przeplatanych przemówień, to szło o podatki. Jeden z posłów przedstawił, że skarb pusty, że pieniędzy nie ma, by wojsku żołąd opłacić, obronę Ojczyźnie zapewnić. I prosił o nałożenie podatku, opłat od łanu zboża, by pieniądze zebrane rychło na uzbrojenie i wypłatę żołnierza poszły. Inni mówili to samo, ale powiadali, niech ten płaci, co rolę uprawia, to znaczy chłop. A wtedy jeden z posłów stanął w obronie chłopca, mówił, że chłop w nędzy, że ziemi na własność nie mając płacić od łanu zboża nie może, że szlachta, co ziemię posiada sama płacić winna.

— No i zaczęli się kłócić — kończył Wojciech Konarski. — Skakaliby sobie do oczu niby koguty, aż jeszcze jeden wystąpił poseł i ten podał, by płacili na wojsko duchowni, bo oni majątki mają, a sami w wojsku nie służąc, niech przynajmniej tę powinność pełnią.

— No i co? I uchwalili na wojsko opłaty?

— Wcale nie. Bo znów się zaczęli kłócić, jak wielkie być mają. I znów gadali, gadali i do głosowania na sesji nie przyszło. Wszyscy byli już zmęczeni i głodni. Nie wołają teraz „Vetol!” — nie pozwalam, ale za to gadulstwem przedłużają wszystko, obrady nic nie przynoszą Ojczyźnie.

— I co będzie, co teraz będzie? — pytali kadeci Kościuszkę.

— Podobno król pruski wojnę przeciwko Polsce szykuje — cicho zauważył kadet Orłowski.

— A carowa Katarzyna też ma swoje plany... Gdzie tu szukać pomocy? gdzie obrony? skoro sami wystawić, uzbroić i utrzymać wojska nie potrafimy?

Tak mówili między sobą kadeci wysłuchawszy sprawozdania Kościuszki. Zasepiły się młodzieńcze twarze, zatroskały nie na żarty. Przeczuwali zbliżające się jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Uczuli smutek i lęk.

— Co robić? Co robić? Jak bronić ojczyzny milej i jej wolności?

— Nic na to nie możemy poradzić — oświadczył kadet Orłowski, jakby czytając w myślach swych kolegów.

— O możemy i to bardzo wiele — zaprzeczył mu Kościuszko gorąco.

— W jaki sposób?

— Przykładając się do nauki jeszcze więcej, jeszcze gorliwiej niż dotąd. Wypełniając wszystkie obowiązki dokładnie. Nie długo, bo za kilka lat potrafimy uchwalić lepsze, sprawiedliwsze prawa, ratować Ojczyznę będziemy wszyscy, ilu nas tu jest...

— Racja! racja! — przyświadczyli inni. I zaraz weselej i lżej zrobiło im się na duszy. Rozbiegli się do swych zajęć, a Kościuszko powiesiwszy paradny mundur w szafie, rozłożył przed sobą książki o nauce fortyfikacji i uczyć się począł. O tym, że uczyć się umiał dobrze, świadczyły stopnie i awanse. W rok po wstąpieniu do kadetów mianowany został chorążym. Miał teraz prawo młodszych kolegów pytać Katechizmu kadeckiego i w naukach im przewodniczyć, miał prawo noszenia na ramieniu granatowej belki w złotym obramowaniu na znak swej szarży.

Koledzy widząc, że jest stanowczy i niezłomny, upatrzyli sobie, że podobny jest pod względem tych cech charakteru do króla szwedzkiego Karola XII i lubili przezywać go Szwedem. A Kościuszko śmiał się z przydomka, powtarzając nieraz: Zwycięzać samego siebie to największe zwycięstwo. — A przez trzy lata pobytu w szkole kadetów aż do roku 1769 zwyciężał siebie wiele, wiele razy.

— Żebyś ty do tego tak potrafił, jak ty — mówił nieraz z podziwem Wojciech Konarski.

— Potrafisz, gdy tylko naprawdę zechcesz.

— Chcę, a jednak nie mogę ani tak dobrze rysować jak ty, ani tak gładko odpowiadać na wszystkie pytania.

— To tylko dlatego, że się jeszcze ciągle za mało starasz.

— Siedzę przecież w klasie, kuję i kuję aż do wieczora, aż świece w sypialni pogaszą i już mi głowa od tego uczenia pęka. Już więcej nie mogę. Jestem zmęczony — skarżył się Wojtek.

— A ty myślisz, że ja nie jestem zmęczony? I jak jeszczel! A tu czekają nas jeszcze ostateczne egzamina, jeszcze pół roku nauki do końca...

— Powtarzam sobie zaklęcie: Tymoleon, i myślę o tym greckim bohaterze — podjął Wojtek — ale wiesz na zmęczenie to nic a nic nie pomaga i tak zasypiam nad książką. Tymoleon to był dobry sposób na strach, ale na zmęczenie... nie ma zaklęcia.

— Poczekaj, może ja też coś wynajdę... Na pewno coś wynajdę. Muszę wynaleźć — postanawiał Kościuszko.

Późno w noc leżał z otwartymi oczyma wśród śpiących kolegów, którzy oddychali miarowo, a nawet chrapali głośno, na twardych żołnierskich łóżkach.

Pyzaty, okrążył księżyc zaglądał właśnie przez okna do sypialni kadetów. Oświetlał położoną na krześle stojącym obok łóżka Kościuszki deseczkę z rysunkiem węglem na niej rozpoczętym. Z pobliskiej wieży zamkowej zabrzmiały uderzenia miarowe zegara. Księżyc toczył po niebie coraz niżej swe pełne oblicze i gdy na zamkowym zegarze wydzwoniła godzina trzecia rano, skąpał swą srebrną twarz w wiślanych falach. I było jeszcze całkiem ciemno, gdy stróż szkoły kadetów mieszkający na parterze zapalał swój kaganek, i szedł do piwnicy po węgiel. Potem z pełnymi wiadrami człapał na piętro. Jego ciężkie buciary łup! łup! — dudniły o schody, a chłopcy spali dalej.

Stróż szedł od klasy do klasy. Palił w piecach, zamiatał — na szóstą wszystko musiało być gotowe. Wtedy na łoskot bębna zrywali się kadeci. Łapu, capu — myli twarz, szyję, ręce w zimnej wodzie, przyczesywali czupryny, żeby zdążyć do kaplicy na modlitwę. Niejeden ziewnął głośno. Inny przeciągnął się lub oczy przecierał zawzięcie.

Patrzcie marudy, bierzcie przykład z Kościuszki — popędzał kolegów Wojciech Konarski, dociągając paska i zapinając go na mosiężną klamrę.

— Phi, cóż chcesz, Szwed to czarodziej prawdziwy — zaśmiał się Orłowski. Wiesz, gdybym nie widział, jak się wieczorem do koszuli rozbiera, to bym podejrywał, że w mundurze sypia. My wstajemy, a on przecie zawsze prawie już gotów.

— No, Szwed, pokaż jak tam twoja polowa armatka — zawołał chwytając rysunek z rąk Kościuszki. — O patrzcie państwo. Dali Bóg tyś czarodziej! Przecież wczoraj razem zaczęliśmy robotę — ja ledwie mam parę kresek, a tyś już skończył. I kiedyś to zdążył zrobić?

— Dziś — odpowiedział zagadnięty.

— Wolne żarty, przecie parę minut, jak myśmy wstali...

— No, tak, jak wyście wstali...

— Rozumiem, tyś wstał od nas wcześniej, tylko kto cię obudził?

— Stróż.

— Ależ on nie przychodzi do naszych sypialni... No, no masz też sposoby...

— A żebyś wiedział, Orłowski, że on ma sposoby — wmieszał się Wojtek do rozmowy. — I wiesz, ja ten to już podpatrzyłem i jak będziesz chciał obudzić się o trzeciej rano, to już ja ci pokażę, jak się to robi. Bierze się sznurek, zawiązuje jednym końcem koło ręki albo nogi, a drugim przywiązuje go do klamki i ładnie, spokojnie sobie lulasz, aż stróż o trzeciej rano za klamkę pociągnie i ty bracie wtedy budzisz się, bo cię tak szarpnie, że chyba musiałbyś być nieżywy, żeby nic nie poczuć. No, mówię ci: nieżywy...

— To Szwed tak tam sznurem się wiąże. To ci paradne... — dziwili się kadeci, słuchając Wojtka.

— Rano wcześniej się obudzić to jeszcze, jeszcze można by, ale wieczorem nie zasnąć, jak głowa cięży niby kamień, a tu jeszcze łacinę albo i matematykę powtarzać trzeba; to byłaby sztuka. Ręczę, że i Szwed nie ma na to sposobu, żeby zmęczenie przepłoszyć — mówił Orłowski.

— Może i nie ma, ale będzie miał — powiedział Wojtek. — Ja wam powiadam, on co chce mieć, to będzie miał. Co chce osiągnąć, to osiągnie.

A Kościuszko rzeczywiście chciał ogromnie przezwyciężyć senność i zmęczenie, by podołać obowiązkom, które trzeba było co dzień wypełnić, by samemu dobrze odrobić własne lekcje, i musztrę odbyć i fechtunek, by przepytać młodszych kolegów, dopilnować nowicjuszy, bo oficerem już został, ale im bliżej było końca roku, im bliżej ukończenie szkoły kadetów, tym trudniej było wytrwać.

Na wieś do domu nie pojechał. Bratu Józefowi dawno wysłał pełnomocnictwa, by dysponował jego majątkiem. Na swe potrzeby miał teraz pensję oficerską, a słyszał, że przełożeni szkoły przedstawili go na liście godnych wysłania za granicę dla wydoskonalenia się w naukach wojskowych. Tym bardziej należało się starać, żeby nie zawieść nadziei, jakie w nim pokładali nauczyciele i król. A król raz w raz wołał go do czytania i pytał nieraz o życie w szkole kadetów, o naukę. A tu tak ciężko przychodziło się uczyć. Zwłaszcza wiosną. Przez otwarte okna zalaływał z ogrodów zapach kwitnącego bzu. A wieczorami w nadwiślańskich wiklinach śpiewały słowiki. Wystarczało na chwilę przymknąć oczy i zasypiało się na kamień.

Próbował Tadeusz różnych sposobów. Okna zamykał, by zapach jaśminu i bzu do pokoju nie dotarł, w którym nad sztuką

wojenną ślęczał. Spacerów i słuchania słowicznych treli unikał, aż sposób na zmęczenie i senliwość wynalazł.

Właśnie zasady mechaniki, budowy maszyn sobie powtarzał, gdy nadszedł Wojtek Konarski.

— Szwed, a cóż ty ryby łowisz? — zawołał od progu zdumiony dziwnym widokiem, jaki miał przed sobą.

Oto nad cynową miską pełną wody siedział Kościuszko. Pedręcznik o maszyn budowie trzymał w ręku, a bose stopy o krawędź cynowej misy opierał.

— Ot, widzisz co robię, — odparł nogi do wody wkładając — sen odpędzam i tyle.

— I to pomaga? A ja myślałem, że ty czarodziej w misie ryby łowisz. Naprawdę, nie chce ci się spać?

— Ano nie. Zresztą spróbuj. I wiesz, jak bardzo jesteś zmęczony, to możesz nie tylko nogi, ale szyję i głowę i ciało zimną wodą natrzeć, a sen ci z powiek odleci za dziesiątą górę.

— Wiwat! Powiem zaraz Orłowskiemu, żeś sen zwyciężył. Już lecę, bo wiesz ja się z nim założyłem, że ty sposób na zmęczenie znajdziesz, tak i znalazłeś.

Pobiegł Wojtek i do wieczora już prawie wszyscy chłopcy w korpusie wiedzieli o tym, jak to Kościuszko sen zwyciężył. Najmłodszy patrzyli na Szweda z podziwem, koledzy z uznaniem, a wszyscy kochali go bardzo. Toteż gdy nadszedł dzień ostatni pobytu w szkole kadetów, ten dzień taki upragniony, taki wymarzony od dawna, czuł Tadeusz radość, ale jednocześnie i dziwny smutek. Przez te trzy lata tak bardzo przyzwyczyli się do tych murów kazimierzowskiego pałacu — jak nazywano budynek szkoły kadetów. Znał ciche, drobne kroczyki dyrektora i nieraz ostrzegał rozbawionych kolegów przed niespodzianym wejściem „Gacka”, — z szacunkiem prawdziwym o oficerach, przełożonych swych myślał od księcia Czartoryskiego poczynając a na generale Wojnie, uczącego sztuki fortyfikacyjnej, kończąc. Niejednokrotnie doświadczał książęcej opieki, rady i pomocy. Teraz zdawał sobie sprawę, ile zawdzięcza i komentantowi i wszystkim nauczycielom szkoły. Z prawdziwym wzruszeniem zapisywał też w osobnej księdze opuszczając korpus kadetów następujące zobowiązanie:

„Ja Tadeusz Kościuszko wyznaję i zaciągam na cały wiek życia obowiązek wdzięczności Korpusowi Kadetów za odebraną w nim edukację i przyrzekam, że ile sił moich, w każdym

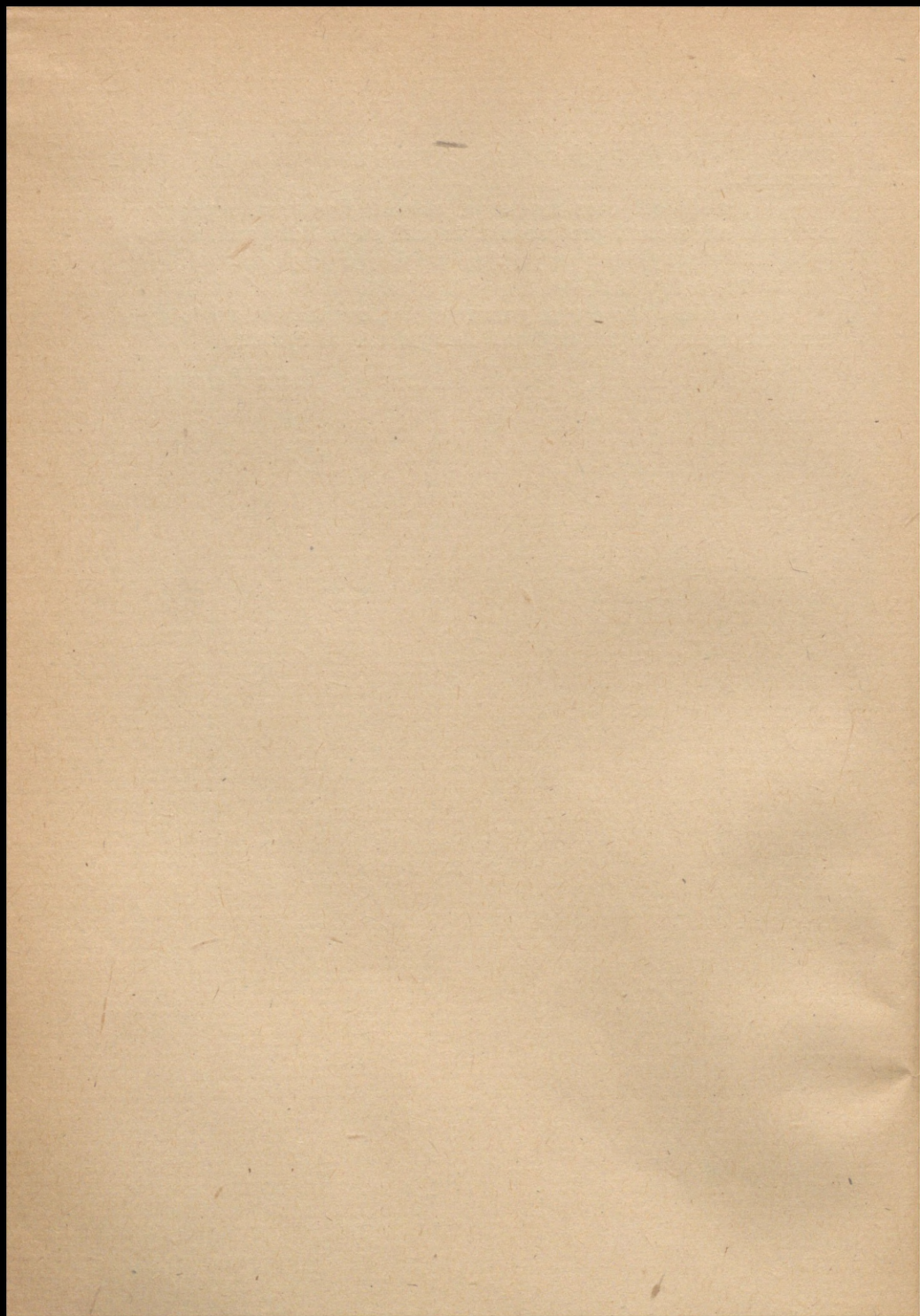
stanie, który bym mógł obrać, dbałym się okazać o honor tego korpusu...”

Gdy nadszedł czas rozstania, składał Kościuszko podziękowanie oficerom i profesorom, żegnał się z kolegami, z których każdy przyjętym zwyczajem ściskając go powtarzał:

— Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem!

Czy Kościuszko o tym pamiętał? Odpowiedź dał na to pytanie najlepszą swymi czynami i swym całym życiem.

Irena Barowa



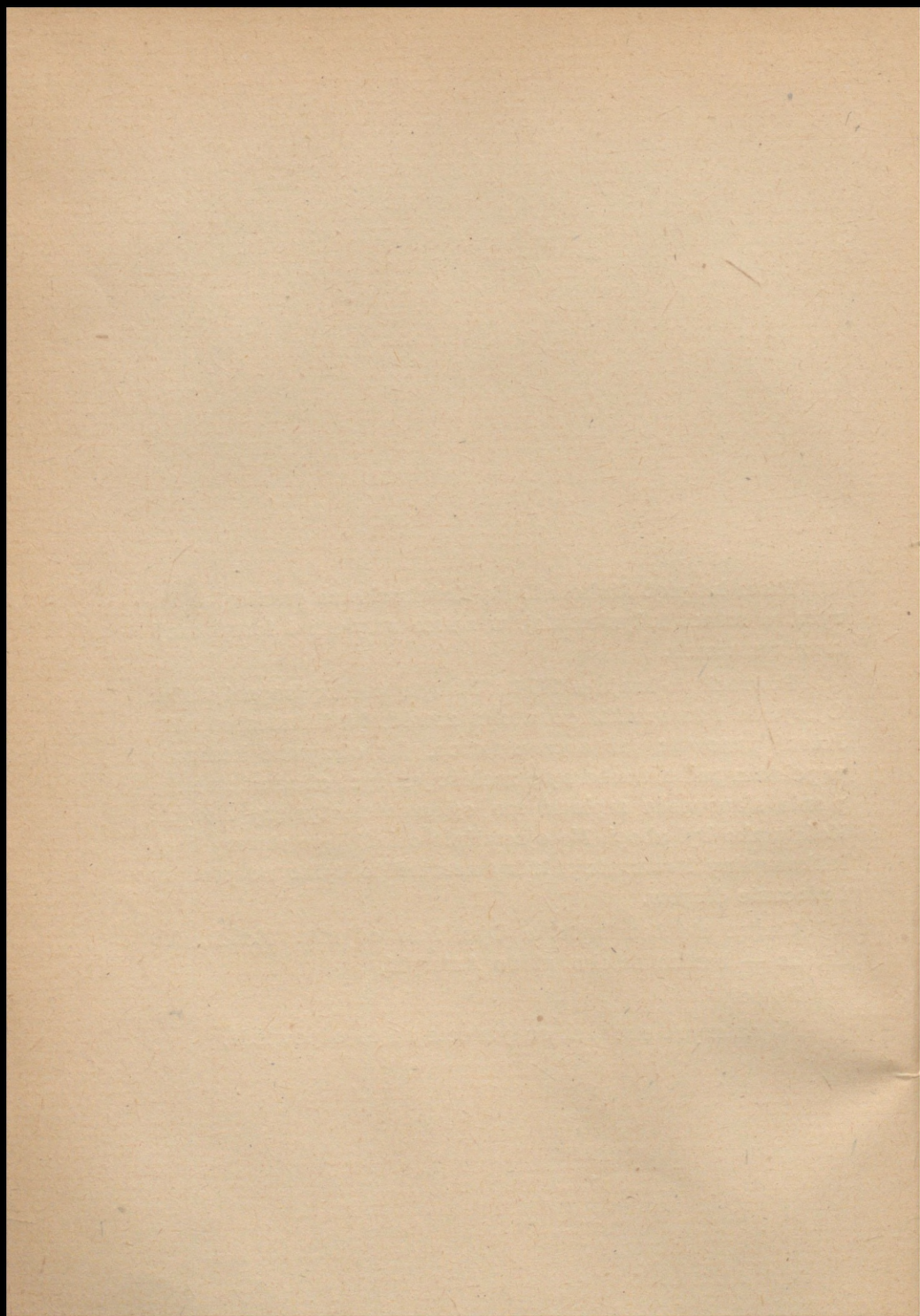
Przez lat pięć doskonalił się Kościuszko za granicą, w Paryżu, w sztuce inżynierskiej, w nauce artylerii i fortyfikacji oraz rysunkach,

Powrócił do kraju w 1774 r. Nabytą wiedzą pragnął służyć Ojczyźnie i tu spotkał go wielki zawód. Nad Rzeczpospolitą Polską panowała już obca przemoc. By otrzymać komendę w polskim pułku, trzeba było znaleźć jakiegoś oficera i za ustąpienie stanowiska zapłacić mu osiemnaście tysięcy złotych. Kościuszko był ubogi. Na ojcowiznie osiadł jego starszy brat, lekkomyślny i rozrutny, który narażał go tylko na procesy i płacenie długów.

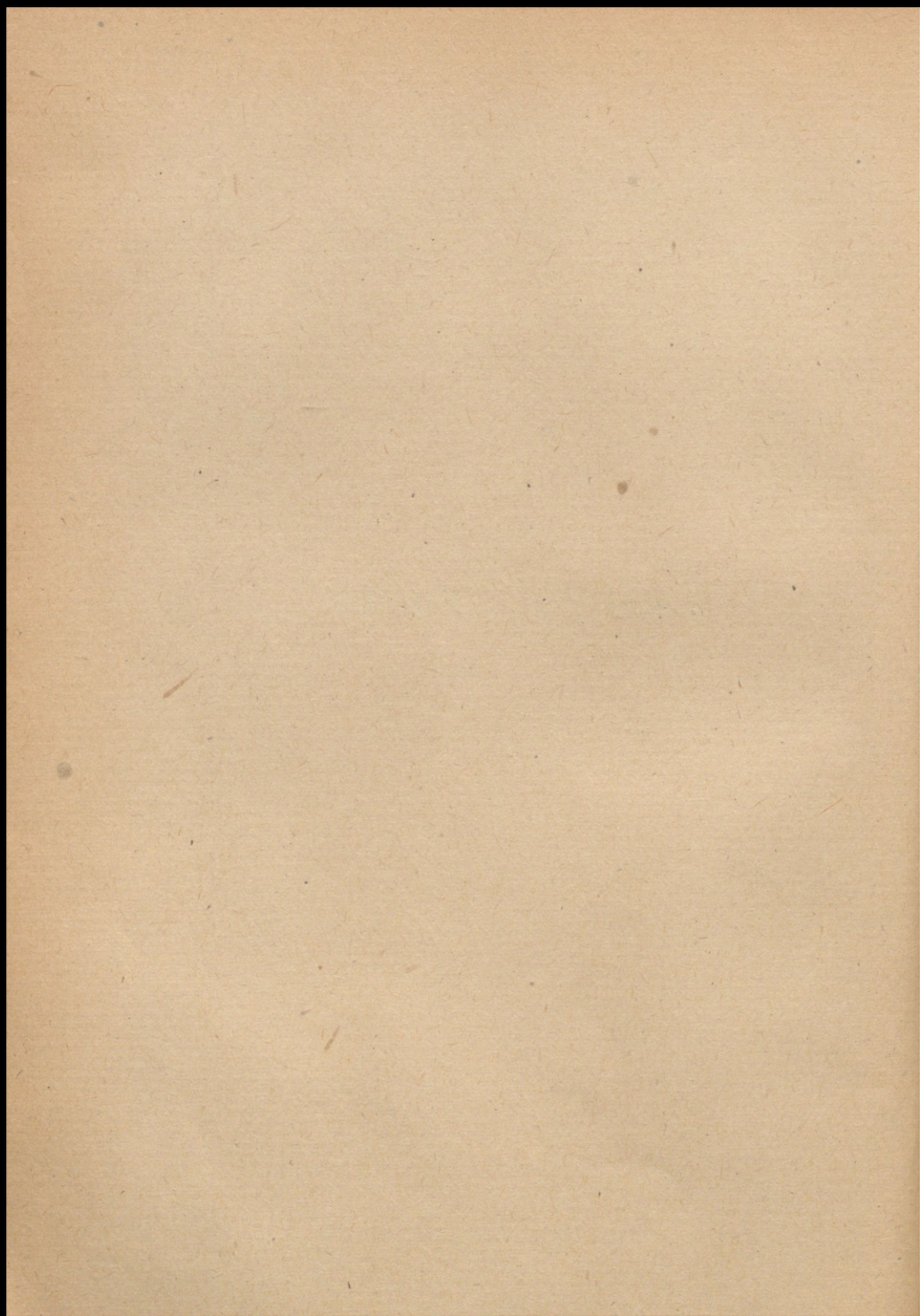
Czując się bezsilnym w Ojczyźnie odjechał Kościuszko daleko — bardzo daleko, aż do Ameryki.

Po co?

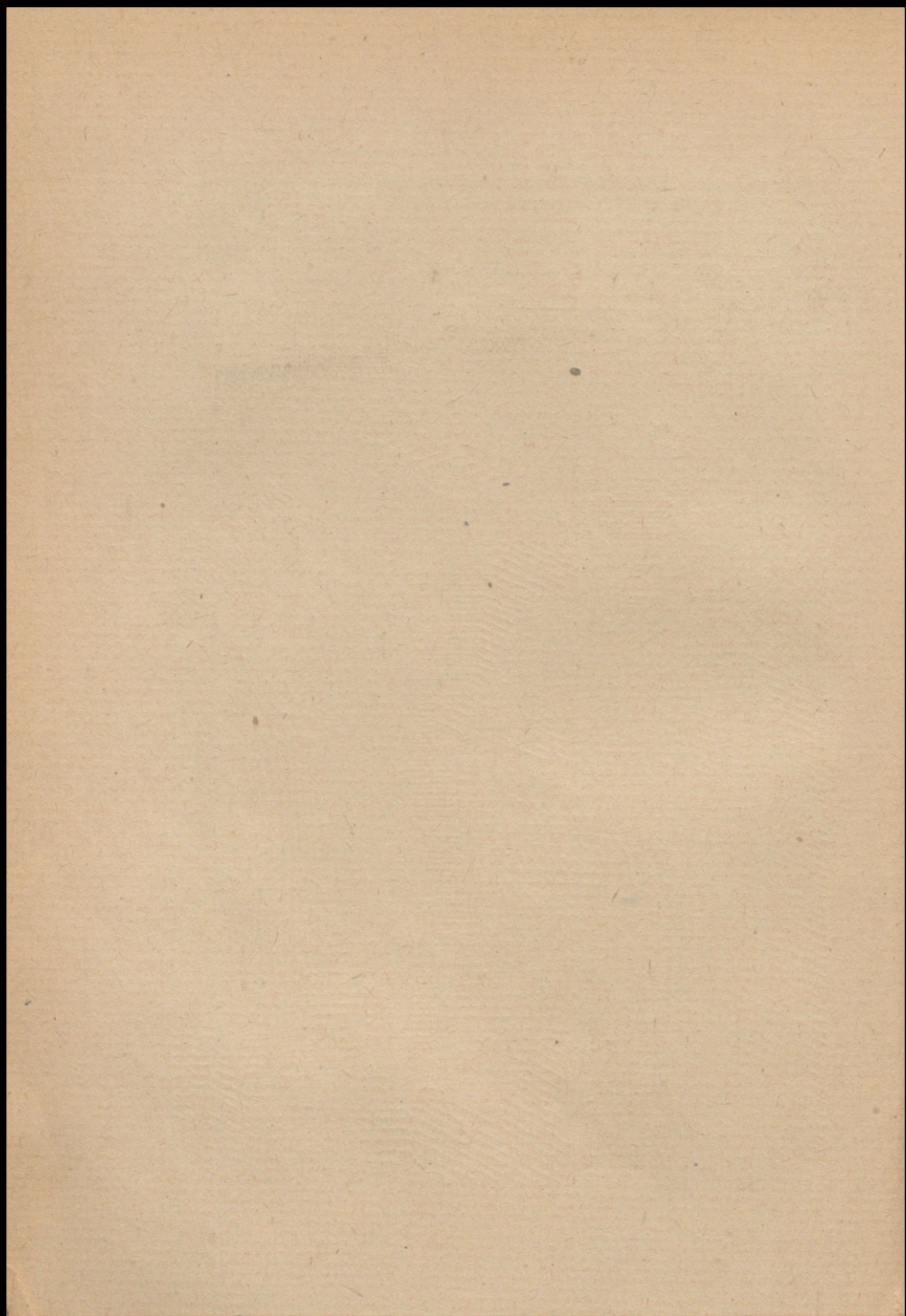
Na dalszych stronach znajdziecie na to odpowiedź.



MÓJ PUŁKOWNIK







— Szara Sowo, czy widziałeś Toma? — pytała zniecierpliwionym głosem pani Liancourt, właścicielka oberży „Goodvin” w Filadelfii, wchodzącego do izby zastawionej stolikami i krzesłami dla gości, służącego kulawego Indianina. Indianin niósł na tacy dwa cynowe kubki pełne musującego piwa, postawił je przed siedzącymi pod oknem: łysym mężczyzną o twarzy wygolonej i chudej, który prowadził ożywioną rozmowę z jego gościem rumianym i zażywnym.

— Nie, Mad'm. Szara Sowa nie widzieć Tom. Szara Sowa słyszeć Tom na Market Street — mówił Indianin, stąpając cicho, jak duch, w miękkich mokasynach.

— Cóż ty pleciesz, Szara Sowo — Market Street za daleko, by stamtąd Toma można słyszeć...

— Szara Sowa nie pleść. Szara Sowa wiedzieć. Tom być na Market Street — z tępym uporem powtarzał służący. — Na Market Street mnóstwo — wiele ludzi. Na Market Street wołać wszyscy z całej siły: „Precz Howe! Niech żyje Waszyngton!”

— No tak, tak, tak, odkąd ta wojna trwa, to ja chłopaka w domu nie przytrzymam, ani mowy, żeby usiedział. Przed godziną posłałam go po trzy funty cielęciny i dwie główki czosnku. Poszedł i przepadł, jak kamień w wodę — biadała pani Liancourt, obcierając dzbany i kubki stojące na ladzie kawałkiem białego płótna.

— Szara Sowa iść, szukać Tom — ofiarował się Indianin, ale właścicielka oberży „Goodvin” ofuknęła go ostro:

— Nie, nie pójdziesz. Jeszcze by tego brakowało, byś i ty przepadł. Żadnej z was nie mam pociechy. Smarkacz lata, jak opętany, a ty też tylko patrzysz, żeby się do portu wymknąć... I to wszystko za moje dobre serce, za to, że was przygarnęłam zimą, zem się zlitowałam...

— Pan Bóg pani wynagrodzi — nabożnie zauważył wygolony gość w ciemnym długim surducie, wyglądający na duchownego.

— Co tam wynagrodzi, już wynagradza — dodał jego sąsiad, krągły i rumiany farmer Smith, który wzbogacił się bardzo na plantacjach ogórków i melonów. — Przecie odkąd Tom Bird u pani się chowa, to zamiast lichej karczmy w błotnistej, ubogiej dzielnicy Filadelfii mamy hotel i gospodę dla „turyistów“, jak się patrzy. W całej Pensylwanii lepszej nie znajdzie... Nie, nie może pani narzekać... Odkąd brzuchate galery broń przemycają powstańcom, to i pani do mieszka dukaty ciuła. Wojna dla jednych śmierć i mogiła, dla innych — kopalnia złota...

— Bez boskiego błogosławieństwa to i złoto diabeł porwie — wrócił człowiek o wyglądzie duchownego. — Gdyby pani Liancourt Boga w sercu nie miała, diabeł miałby z jej majątku uciechę, a tak to sierota Tom pożywić się może...

— Dziękuję, ojczcie Brown. Na grosz nie byłam nigdy chciwa i nie chwalać się pod swój dach przyjąłam i dzieciaka i Szarą Sowę, gdy ledwie żywi uszli przed żołnierzami czerwonych batalionów. Dwie izby wtedy miałam i jakoś Bóg mi pomógł. Nie dlatego się skarzę, nie, ale martwi mnie czy Toma na ludzi wywiode. Chłopaczysko miejsca nie zagrzeje, o książce ani słyszeć nie chce, jeno się do wojska rwie. Cóż i sam Washington nie poradzi na jego dziesięć lat, więc na ochotnika takiego dzieciaka nie przyjmą, ale niech tylko muzyka zagra, niech Tom werbel usłyszy albo trębaczy, a już go w domu nie zobaczy, leci na wojsko patrzeć, a musztrę zna już jak stary wiarus...

— Ejże, niech no pani nie wyrzeka, bo że tak wojsko miłuje, to i do pani ochotników z portu przyprowadza, a ci nim patent na zaciąg od Kongresu otrzymają, to i parę tygodni w gospodzie „Goodvin“ pożywią się i wyśpią i zarobek z tego niezły dla pani — zauważył farmer Smith.

— Jaki tam znów zarobek! A czy mi to wszyscy akuratnie płacą? Oszusty, łajdaki i włóczęgi też tu z za morza ciągną, sami majątku chcą poszukać na naszej ziemi, uciekają z Europy przed kryminałem, a niby to o wolność Ameryki przyjechali walczyć... Znam się na tych niebieskich ptakach, oj, znam...

— Nie wszyscy przecie cudzoziemcy godni potępienia — łagodził ojciec Brown, chociażby taki Monsieur Koskeusko.

— No tak, ten inżynier Polak to się udał. Uczciwy, nie pije, pana nie udaje, do człowieka zawsze tak zagada po przyjacielsku, że aż coś pod sercem taje, dla siebie niczego nie wymaga. Pokoik najął najmniejszy; chociaż mu już trzy

razy lepszy proponowałam od frontu z dużym widnym oknem, nie chciał. „Jak będę miał patent od Kongresu i gażę wojskową, to pogadamy, pani Liancourt” — powiedział. Chudo przy nim. Dwa tylko małe zawiniątka z sobą przywiózł. Tom mówił, że ma jedno ubranie na zmianę, a w szafie szablę zamknął, jakby skarb największy i naniery, nad którymi do późna w noc siedzi. Rysuje i liczy, liczy i rysuje przy świecy nieraz i do białego rana i na to wszystko... — tu pani Liancourt przerwała.

Do izby wpadł wyrostek bosy w krótkich porciętach, rozpiętej na piersiach niebieskiej koszuli. Włosy jasne miał rozwiane od szybkiego biegu a twarz rozognioną. Zawiniątko, które trzymał w ręku, niedbale rzucił na ladę i chwytając szybko powietrze paplał niemal jednym tchem:

— Milicja dała się spędzić z Long Island. Długą Wyspę zajęli Anglicy. Na wzgórzach Harlemu też są czerwone diabły. Powstańcy się cofają...

Na te słowa poderwali się mężczyźni siedzący przy stole, a pani Liancourt chwyciła chłopca za ramiona:

— Na Boga! Tom! Skąd to wiesz?! Nie, to niemożliwe! New York! Główna kwatery Washingtona... Ach, to już koniec naszej wolności — wołali jednocześnie ojciec Brown i farmer Smith.

— Ludzie mówili tak na placu. Na Markt Street teraz pochód — transparenty niosą z napisami: „Nie damy Filadelfii!” „Fortyfikować siedzibę Kongresu i Stanu Pensylwanii!” — recytował Tom. — O słyhać już tutaj... Idą! Idą! i Tom podbiegł do okna, otworzył je szeroko, a do izby wpadły okrzyki tłumu, zbliżającego się od rezydencji Kongresu. Tłum mężczyzn: kupców, farmerów, woźniców, murarzy, szewców i stolarzy z żonami i dziećmi, dźwigając łopaty, kilofy, ciągnąc taczki i wózki raz po raz wykrzykiwał:

— Niech żyje Jerzy Washington!

— Precz z okrętami Howe'a!

— Patrzcie! patrzcie! Monsieur Koskeusko w pochodzie na przedzie! — wykrzyknął Tom, wskazując na niewysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, z lekko zadartym nosem, który w tej samej chwili odłączył się od tłumu i wszedł do izby. Spojrzeniem dużych smutnych oczu objął obecnych. Wyczytał z ich twarzy wielki niepokój i trwogę.

— Hej! Tom! żywo przynoś łopaty! Do roboty! Na szanice,

moi panowie — zwrócił się do ojca Browna i Smitha głosem przywykłym do komendy.

— O Monsieur Koskeusko — a Washington?... — drżącym głosem zapytała pani Liancourt. — Pan myśli, że jeszcze nie wszystko stracone?

— Generał Washington organizuje na nowo armię. Ostatnia godzina wolności nie wybiła, póki my żyjemy i możemy działać — dobitnym, chociaż wolno z pewnym cudzoziemskim akcentem powiedział Kościuszko. — Nie mamy czasu do stracenia. Wydział wojskowy przyjął chwałą Bogu moje plany umocnień Filadelfii i fortyfikacji na rzece Delawar. Admirał Howe nie wylądował tu ze swą flotą, jeśli zdołamy zabezpieczyć się od strony portu. Łopat tylko trzeba, taczek, rąk do pracy chętnych i ofiarnych.

— Tych nie zabraknie — zawołał ojciec Brown i pan Smith. — Idziemy, Szara Sowa, — zwrócił się do Indianina, dźwigającego kilof, a sam z rąk Toma odebrał jedną z dwóch przyniesionych łopat.

— Ja będę woził ziemię i piasek, Monsieur Koskeusko — wykrzykiwał tymczasem Tom — ja będę woził..

— Dobrze, odbrze, chłopcze, jak poradzisz, to będziesz — uśmiechnął się Kościuszko, widząc zapal Tom.

— A obiad, obiad, co będzie z obiadem? — biadała pani Liancourt widząc, że zmierza ku wyjściu.

— Obiad to fraszka, zjemy chociażby z kolacją podwójną porcję, jak nam pani przygotowuje — odparł ojciec Brown, spiesząc za Kościuszką, Tomem, Smithem i Szarą Sową.

Szybko dołączyli się do pochodu. Wraz z innymi wznosili okrzyki na cześć Washingtona, wraz z innymi podchwycili żołnierską melodię piosenki wolności.

Już od roku trwała walka trzynastu Stanów amerykańskich przeciwko Anglii. Siły były nierówne. Anglicy mieli wojsko doskonale uzbrojone i ogromną flotę. Od strony lądu i morza mogli atakować farmerów, którym nie chodziło tylko o płacenie podatków i cła od herbaty czy papieru, ale którzy powiedzieli na zebraniu swych przedstawicieli w Filadelfii, że „wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie”, że „na pierwszym miejscu postawić należy prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia”, że „w celu zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzonych”. Te słowa znali na pamięć

wszyscy ochotnicy armii Washingtona, znał je każdy Amerykanin miłujący wolność.

— Precz z tyranią! Niech żyje wolność! Niech żyje rząd wybrany z woli ludu! — wołali mieszkańcy Filadelfii, spiesząc na szançe, a wraz z nim spieszył i wznosił okrzyki Kościuszko. On cudzoziemiec nieznan i ubogi przybył, by zaciągnąć się pod amerykańskie sztandary wolności, wolności prawdziwej, sprawiedliwości dla wszystkich ludzi biednych czy bogatych, bez różnicy pochodzenia i zawodu. Po to opuścił swą Ojczyznę i siedł teraz ulicami miasta niepodobnego do żadnego z miast, jakie znał.

Poglądał na ulice długie, szerokie i proste, zabudowane z obu stron domami murowanymi, które były takie świeże i tak kubek w kubek do siebie podobne. Lśniły po prostu nowością i przypominały świeżo polakierowane zabawki na wystawie. Dopiero szósty dobiegał tydzień, jak gościł tu w Ameryce. Z podziwem patrzył na lśniące czystością ściany domków, a przecież wieczorami, gdy znalazł się wśród tych prostych ulic, chwyciła go za serce tęsknota, by ujrzeć chociaż na chwilę ciasne, kręte i wąziutkie uliczki Starego Miasta w Warszawie i oddałyby piękne białe marmurowe kolumny zdobiące front gmachu Kongresu we Filadelfii za jedną kolumnę króla Zygmunta z Zamkowego Placu w stolicy Polski. Czasem pragnął usłyszeć sygnaturki z katedry św. Jana czy kościoła bernardynów. Tu w Filadelfii nawet dzwony były inaczej, tak rzadko i głucho, a żółte fale rzeki Delawar toczyły się wolno i ciężko i nie szemrały tak słodko, jak nurt wiślany u stóp wzgórza na Bielanych... Ale tutaj rozgorzała walka o wolność! Tu odważni Amerykanie powiedzieli, że każdy ma prawo do szczęścia, a w Polsce było wówczas inaczej. Prawo do szczęścia, do majątku, do zaszczytów miała tylko część narodu, jedna warstwa — zwana szlachtą. Chłop musiał ciężko pracować wiosną, latem i jesienią na roli, a plony zebrane oddać panu, ani piędzi ziemi nie miał własnej. Nawet gdy pan był zły, niesprawiedliwy i okrutny, nie miał prawa go porzucić, bo za to poszedłby do więzienia. W Ameryce każdy farmer dla siebie mógł orać, siać i zbierać dla siebie i swoich dzieci. W Ameryce kwitnęły i bogaciły się miasta, bo mieszczenie sami stanowili swe prawa, w Polsce nie mieli żadnego głosu. I dlatego w Polsce działo się coraz gorzej. Kościuszcze ścisnęło się serce, gdy pomyślał o swej dalekiej, tak bardzo dalekiej i nieszczęśliwej Ojczyźnie. Dla Niej to uczył się pilnie, wysłany

przez króla nawet za granicę, by zdobyć wiedzę sztuki fortyfikacyjnej. Powrócił do kraju. I cóż? Nie dano mu żadnego zajęcia! A i tu w Ameryce nie od razu miał szczęście. Tracił już chwilami nadzieję czy wydział wojskowy przyjmie jego plany, czy powierzą mu kierownictwo robót fortyfikacyjnych. Ostatecznie był obcym, cudzoziemcem i oto dziś, dziś właśnie nadszedł szczęśliwy dzień!

— Monsieur Koskeusko, poprowadzi pan roboty — rzekł mu przewodniczący Kongresu, wręczając patent, czyli mianowanie. Miał na piersiach schowany ten cenny dokument, w którym napisane były te słowa: „Dnia 18 października 1776 r. uroczyste Kongres postanowił, że p. Tadeusz Kościuszko został mianowany pułkownikiem inżynierii w służbie Stanów Zjednoczonych z pensją 60 dolarów na miesiąc”.

Wkrótce jego nazwisko takie trudne do wymówienia było na ustach wszystkich mieszkańców Filadelfii. Całe miasto zajęte przy fortyfikacjach rozprawiało tylko o nim, a na linii nakreślonej jego wprawną ręką rosły szanse obronne i reduty, stanowiska dla artylerii, magazyny dla amunicji.

Dnia 24 października spotkała go wielka niespodzianka. Otrzymał nowe pismo od Kongresu, który „w nagrodę wytknięcia planu fortyfikacji w Billingsport” przysłał mu przekaz na 50 funtów szterlingów. Kościuszko sprawił sobie teraz mundur. Miał za co. I Tom nie mógł się napatrzeć. Z prawdziwym szacunkiem dotykał złożonych naramienników i trójkątnego kapelusza pana pułkownika, z radością odbierał co wieczór szablę z jego rąk i pas. W ogóle starał się nie odstępować Kościuszki ani na krok. Nosił jego tekę z planami, podawał miernicze przyrządy. Nauczył się ich nazw i wiedział do czego każdy z nich służy. Wieczorem, gdy inżynier Kościuszko przy świecy jeszcze prowadził obliczenia, Tom składał porządnie cyrkle i linie do puła.

Aż raz pewnego dowiedział się Tom, że Kościuszko wyjeżdża.

— Dlaczego? — Nie, tego Tom nie mógł zrozumieć. Wszyscy przecież tak kochali pana pułkownika, uwielbiali go prostu.

— Ewakuacja! — słyszał Tom jeden jedyny wyraz szepwany tajemniczo i cicho przez ojca Browna.

— Co to znaczy, ewakuacja? — spytał pani Liancourt.

— To znaczy, że nasi muszą stąd odejść — odparła, mając oczy pełne łez.

— Dlaczego? dlaczego? — pytał Tom, ale na to nikt nie mógł mu odpowiedzieć. Taki przyszedł rozkaz z głównej kwatery.

Pułkownik Kościuszko otrzymał zlecenie zameldowania się w szeregach armii północnej, pozostającej pod rozkazami generała Gates w dolinie rzeki Hudson.

Żegnał się serdecznie i z Ojcem Brownem i panią Liancourt i farmerem Smithem, żegnał ze wszystkimi przyjaciółmi w Filadelfii, tylko nie mógł się pożegnać z Tomem. Chłopak, który niemal do ostatka wyciągał z szafy różne rzeczy i pomagał je układać w kufrze podróżnym, gdy przyszła chwila odjazdu, znikł bez śladu.

— Tom! Tom! — wołała daremnie pani Liancourt!

— Tom! Tom! — rozlegało się po podwórzu i na ulicy wołanie Szarej Sowy, ale wśród grudniowej nocy tętniły tylko ulicą kopyta żołnierskich koni i dudniły głucho furgony ładowane żywnością i bronią.

— Będzie chłopak żałował pana, panie pułkowniku — mówiła pani Liancourt — tak się do pana przywiązał.

— I mnie go też będzie brak — rzekł Kościuszko, ale cóż, służba nie druźba. Czas na mnie. Niech pani Tomą pozdrowi i da mu ode mnie na pamiątkę tego dukata — powiedział, wsuwając złotą monetę w rękę gospodyni.

— Przepadł chłopiec, jak zwykle, gdy trzeba, by był.

Tom istotnie przepadł.

Nazajutrz, gdy pułkownik Kościuszko zatrzymał się na dłuższy postój wiele, wiele mil za Filadelfią i rozwinął mapę, by wyznaczyć drogę dalszego marszu, nagle jak z podziemi wyrósł przy nim Tom. Rozczochraną miał głowę, we włosach żółzła słomy i siana wskazywały jak noc spędził.

Kościuszko srożył się najpierw, ale chłopak do nóg mu przypadł i powtarzał błagalnie dwa tylko słowa:

— Monsieur Koskeusko! Monsieur Koskeusko!

I Monsieur Koskeusko machnął ręką.

— A niech cię tam! Zostaniesz więc w wojsku, ale pamiętaj, słuchać musisz jak prawdziwy żołnierz.

— Rozkaz, panie pułkowniku!

I Tom słuchał rzeczywiście, błyskawicznie spełniał każde życzenie Kościuszki. Był jakby jego drugim ordynansem i asystentem zarazem. W swej pieczy miał inżynierskie przyrządy podczas uciążliwej podróży przez krainę puszczy wielkich, rzek i gór aż do miejsca, gdzie łączą się z sobą dwa ogromne jeziora

Champlain i George. W cichym zwierciadle wody na tle Zielonych Gór, biegnących równolegle do wybrzeża Oceanu Atlantyckiego, wyrosły mury fortecy Tinconderoga.

A amerykański generał Gates polecił Kościuszkę umocnić fortecę, nad którą wznosiła się góra-olbrzym, góra mająca kształt głowy cukru i stąd nazwana Sugar-loaf-hill.

Kościuszko spiesźnie rysował plany. Tom zasypiał, gdy przez szparę z sąsiedniej izby sączyła się wąska smuga światła, która gasła ze wstającym świtem. Plany wkrótce były gotowe, ale, niestety, nowy komendant twierdzy uznał je za niemożliwe do wykonania, roboty powierzył innemu inżynierowi. Kościuszko opuszczał twierdzę.

Tom widział z jego miny, że coś niedobrego się święci. Pułkownik nie uśmiechał się teraz wcale, chodził po izbie zamysłony, przegarniając nieraz ręką niecierpliwie włosy nad czołem, a czasem zaciskał jakby w gniewie pięści.

Tom chodził na palcach i odetchnął dopiero wówczas z ulgą, gdy Kościuszko powiedział:

— Składaj rzeczy, wyjeżdżamy.

Tom aż podskoczył sobie i miał ochotę zaśpiewać z radości.

— Nareszcie! Jedziemy, jedziemy! — pokrzykiwał, gdy ruszyli całym taborem koni i wozów słonecznym dniem majowym.

Step kwitł jak stubarwny dywan. Środkiem niby żółte sploty jedwabnej wstęgi wiły się porośnięte kwiatami szlaki, którymi niegdyś już jechali ludzie. Dzikie tulipany i ogromne niebieskie stepowe dzwonki i nakrapiane jak storczyki aksamitne dzbanuszki wydzielały odurzający zapach. A trawy ostre, o drobnutkich i szarych jak perełki rosy kwiatkach, były tak wysokie, że człowiek dorosły chował się w nich z głową, a cóż dopiero Tom!

Z wysokości wozu mógł za to napatrzeć się dowoli i tramwom i kwiatom i ogromnym barwnym motylom i stadom przelatujących ptaków. Powietrze było przesycone wonią lilii, to zrów dzikich goździków, a wśród traw i kwiatów żył cały świat tajemniczych węży i zwierząt. Małe i płochliwe ziemne pieski umykały przed taborem wozów do swych śmiesznych domków — ziemnych kopczyków, podobnych do kretowisk. Wśród traw przemknął czasem młody zajaczek, ale częściej zakolała złowroźnie wąż — grzechotnik.

Żołnierze mieli teraz pożywienia poddostatkiem. Z łatwością można było upolować bizona o groźnych rogach, trudniej już było podejść i ustrzelić płochliwą i zgrabną antylopę o smutnym spojrzeniu wielkich oczu.

W okolicach lesistych polowano znów na ptaki, a w rzekach łowiono ryby dziwnych cudacznych kształtów, spłaszczone czasem, to znów krągłe jak kula.

Mijali pustkowia, przepawali się przez szerokie rzeki, budując mosty na łodziach, które Monsieur Kościuszko zwał pontonami, aż dotarli do indyjskiej wioski nad jeziorem Saratoga.

Stada zagłodzonych indyjskich psów obskoczyły ich zaraz, ale żołnierze umieli obłaskawić natrętów, rzucając kęsy mięsa.

U stóp najwyższego wzgórza, które od karczmy tam istniejącej zwano wzgórzem Behmisa, rozkazał Kościuszko rozpałić ognisko i zaprosił indyjskich wodzów.

Rozchodził się wokół dym z suchych wrzosów i polan przesyconych żywicą.

Tom siedział niedaleko pułkownika mając na oku wielki kosz starannie przykryty płachtą.

Indianie, ubrani w skórzane kaftany, w futrzane czapy, przepasani pasami z bawolej skóry, rozsiedli się w kucki wokół ogniska. W czarnych i gęstych włosach, prostych i długich sięgających ramion nosili dla ozdoby to kawałki barwnych materii i wstążek, to pióra orle. Przy boku mieli noże i małe siekierki-tomahawki. Wyglądali jak posągi z brązu, tacy milczący i nieruchomi. Tłumacz-żołnierz powtarzał słowa pułkownika Kościuszki, zwracając się w stronę najstarszego z wojowników, zwanego Ryczącym Bawołem.

— Wielki wojownik z północy chce zostać bratem czerwonych braci. Biały wielki wojownik na znak przyjaźni pragnie złożyć podarki mężnym wojownikom wielkiej krainy JERIC.

Tu Kościuszko skinął na Toma, który ściągnął szybko płachtę z kosza. Oczom Indian ukazał się stos fajek i paczek tytoniu. W blasku ognia zaświeciły nowiuteńkie ostrza noży, zaślniły szklane paciorki. Tom wziął w rękę kilka sznurów, zęcznie wyrzucił je w górę, zamigotały kolorami tęczy, a spokojni milczący i nieufni Indianie jakby ożyli na ten widok. Ogromne ich brązowe ręce chciwie wyciągnęły się w stronę Toma. Chłopiec rozdawał na prawo i lewo fajki i noże i koraliki i tytoń.

Przymierze z Indianami zostało zawarte.

O świtaniu, gdy perlista rosa wysrebrzyła trawę, gdy mgły poranne leniwie zaczęły przeciągać od jeziora i niknąć w ciemnej otchłani puszczy, zaskrzypiały piły, zadźwięczały siekiery. Stuletnie dęby, buki padały podcięte na wilgotną ziemię, a w dolinie nad jeziorem rozpoczęto budować fortyfikacje.

Wśród leśnych pagórków, otoczonych zwałem pni, kłód i splątanych korzeni, ustawiano armaty, na szczytach budowano reduty.

Rozpoczęły się straszne dni. Huk armat nie ustawał ani na chwilę. Z najwyższego wzgórza Behmisa co chwilę padały celne pociski na pozycje angielskie. I wreszcie nadeszła chwila zwycięstwa. Generał Burgoyne złożył broń z całym swym wojskiem, a dowódca amerykański w depeszy przesłanej do Kongresu, zawiadamiając o zwycięstwie pisał, że przyszło ono skutkiem pracy „pułkownika Kościuszki, który wybił i oszańcował pozycję”.

O depeszy Tom nie wiedział, ale na własne uszy słyszał, jak generał mówił do obozowego lekarza, który mu gratulował zwycięstwa:

— Doktorze, to nie zasługa oręża! Na wojnie, jak w medycynie, wiele jest przyczyn naturalnych, które trzeba umieć wyzyskać, by zwyciężyć. Gdyby nie polski inżynier, który lesy i pagórki umiał zręcznie obrać pod mój obóz, nie byłoby zwycięstwa pod Saratoga. Powinien to pamiętać każdy Amerykanin. Oręż i męstwo żołnierza były środkami, przyczyną wiedza i fachowa umiejętność.

Tom innymi teraz oczyma patrzył na Kościuszkę. Powtórzył mu słowa generała Gates, a Kościuszko uśmiechnął się i klepiąc go po ramieniu rzekł:

— Ucz się więc chłopcze, ucz się, żebyś Ojczyźnie wiedzą mógł kiedyś służyć.

— Yes my colonel — odparł Tom poważnie.

Tak dotąd marzył tylko o tym, by zostać żołnierzem, a przecież zobaczył, że na wojnie celnie strzelać nie wystarczy. Kościuszko więcej rysował, kreślił plany, liczył, niż używał szabli — no, i on właściwie odniósł zwycięstwo.

Zawstydził się Tom swego nieuctwa. Zapragnął pięknie pisać, jak Monsieur Koskeusko, tak jak on rysować i odczytywać z mapy, gdzie bagna grząskie, gdzie bród dogodny na rzece, a gdzie młyn nad wodą turkoce. Wszystko to bowiem

od razu wiedział pułkownik, wystarczyło — na mapę spojrzę i już potrafi oddział prowadzić i objaśniać:

— Dwie mile w lewo będzie las.

Albo:

— Mamę jeszcze trzy godziny drogi do wioski.

Tom zapragnął wszystkie te tajemnice zgłębić i często pytał Kościuszkę o znaki na mapie. Ze znalezionej książki starannie przepisywał jeden ustęp za drugim starając się, by litery nie były jak dotąd koślawe, ale równe i wyraźne. Mózgił się właśnie nad trzecią już stronicą, gdy do izby cicho wszedł pułkownik. Niepostrzeżenie stał przez chwilę za plecami chłopca, patrząc jak ten pracowicie wodzi gęsim piórem po papierze, aż Tomek przerwał. Odwrócił rozognioną wysiłkiem twarz.

— My Colonel! — wykrzyknął, i stanął na baczność.

Kościuszko położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Uczysz się, a to pięknie, chłopcze. Teraz będę miał więcej czasu. Dostałem dziesięć dni urlopu, będziemę więc razem powtarzać historię i rachunki i... i pojedziemy na święta Fożego Narodzenia do Trenton. Dostałem zaproszenie od mego rodaka, generała Kazimierza Pułaskiego.

— O my, Colonel — wykrzyknął radośnie Tom, który od zwycięstwa pod Saratoga inaczej już nie nazywał Kościuszki tylko: mój pułkownik. Mój pułkownik — mówił do samego Kościuszki i do innych, bo po prostu wydawało mu się, że w ten sposób jakaś część chwały spływa i na niego i że w ten sposób jakoś bardziej może zaakcentować swą miłość i przywiązanie.

„Mój pułkownik” — niczyj, tylko mój, było dla bezdcmnego sieroty Toma tym, czym zwykle dla dziecka jest nazwa: mój ojciec, albo mój dom, bo po prostu Kościuszko był mu i ojcem i nauczycielem i opiekunem, był w tej chwili wszystkim na świecie, zastępował rodzinę, tak jak podczas dalekich podróży wóz wymoszczony sianem i nakryty płócienną płachtą od słońca i deszczu dom zastępował.

— Rozumiesz, Filipie Down — mówił Tom, siedząc obok furmana w drodze do miasta Trenton — mój pułkownik jedzie teraz do swego rodaka, do Polaka, który także przepłynął wielką wodę, żeby nam powstańcom pomagać. I jest w armii Washingtona generałem. Walczy o republikę Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, o naszą wolność, rozumiesz, moja i twoją także.

— Hm... pewnie — przytaknął Filip trzaskając z bata — ale, ale...

— Ale co?

— Ale dziwne mi się zdaje to wszystko. Jabym tam, Tom, nie pojechał do tego kraju, z którego jest pułkownik Koskeusko, tak daleko od własnego domu, od rodziny, chyba, że on rodziny nie ma...

— Ma. Mówił mi, ma brata i siostry i siostrzeńców...

— Hm... to jeszcze dziwniejsze. Jabym nie pojechał tak do obcych, chyba, chyba, żeby mi obiecali dużo, dużo pieniędzy...

— Głupi jesteś, Filipie. Pułkownik nie robi tego dla pieniędzy. Widziałeś przecie, jak żołd nieraz swój między żołnierzy rozdawał, a pod wspólną kołdrą sypiał z porucznikiem, własnej nie mając za co kupić, taki z niego dobry człowiek...

— No tak, wiem, wiem, i dlatego właśnie wcale nie rozumiem, po co przybył, by nam pomagać, by za nas przelewać nawet własną krew i narażać swe życie...

— Mówiłem ci — przybył, bo kocha wolność, bo o nią walczy.

— To czemu nie walczy we własnej Ojczyźnie. Dziwny człowiek, oj dziwny człowiek — kiwając głową mówił Filip.

— Dziwny? Nie, tylko kochany, mój pułkownik — wykrzyknął Tom pełen uwielbienia i przywiązania do Kościuszki. Słowa Filipa zapadły mu w duszę.

— Dziwny, może i dziwny, — zastanawiał się układając się do snu. Na czym polegała ta dziwność, nie umiałby wytłumaczyć. Przecież nie na lekkim cudzoziemskim akcencie. Tak, pułkownik był dziwny, był inny niż wszyscy inni pułkownicy, jakich znał i widywał w obozie. Gdy tamci krzyczeli, gniewali się nieraz na żołnierzy, on zawsze dla wszystkich był uprzejmy. Nikomu nawet najniższemu podwładnemu nie okazywał swej władzy, nie dawał odczuć wyższości. Wymagał posłuszeństwa, ale łatwo było słuchać kogoś, kto mówił stanowczo, a przecież serdecznie i po bratersku, a Kościuszkę zawsze tylko tak mówił.

Tak, dziwny był Kościuszkę, ale że aż tak bardzo dziwny, przekonać się miał Tom dopiero w Trenton.

Ciemny granat wygwieżdżonego nieba objął wysoką kopułą najwyższe dachy miasteczka, w którym spotkali się w wigilijny wieczór trzej Polacy: generał Kazimierz Pułaski, ongiś konfederat barski, jego towarzysz i przyjaciel: Maciej Rogow-

ski — i Tadeusz Kościuszko. Dla niego przygotowali obaj gospodarze wigilijną wieczerzę starając się, by potrawy były staropolskie, takie jak w dalekim, tak bardzo dalekim domu, za górami, za lasami, ze sinymi falami wielkiego oceanu.

Nad drzwiami nie wisały gałązki zielonej jemioly, jak zwykle podczas Bożego Narodzenia w amerykańskich domach, za to w kątach izby stały snopy zboża, a stół pachniał sianem, na którym leżał biały obrus. Tom zjadał takie smakołyki, jakich nie kosztował jeszcze nigdy w życiu: barszcz ze śmietaną z maleńkimi pierożkami z grzybków, które Kościuszko śmiesznie uszkami nazywał, a potem ryby były różne i w sosach słodkich i w galarecie i ciasta przeróżne, makiem nadziewane, migdałami, inne przecie w smaku, niż pudding wigilijny u madame Liancourt.

Tom łykał specjały i słuchał, nic nie rozumiejąc cudzoziemskiej mowy, która mu trochę przypominała świągotanie ptaków wiosną nad stepem. — Cr... czwir, św... tak zupełnie jak ćwierkanie ptaków albo jak kołowrotek, gdy snuje lnianą nić, brzmi ta polska mowa — myślał Tom.

— Cr-śwr — wr... — dolatywały do jego uszu niezrozumiałe dźwięki trzech rozmawiających mężczyzn.

Generał Pułaski, o twarzy krągławej, z wąsem ciemnym, śnać coś opowiadał o dalekiej Polsce, a wieści nie musiały być wesołe, bo pułkownik Kościuszko zwiesił smutnie głowę i na twarzy aż pobladał.

— Cwr... wr... — brzęczało Tomowi w uszach, głowę miał ciężką ze zmęczenia, oczy kleiły się już do snu i zasnąłby chyba przy stole na dobre, gdy nagle rozmawiać przestano i do izby wniesiono dziw — cud — wspaniałość! Zabawka nie zabawka, śliczność! Czegoś równie pięknego Tom jeszcze nigdy nie widział! Chyba w Bostonie albo w Filadelfii na wielkiej wystawie, obwieszonej zabawkami dla dzieci i kolorowymi lampkami.

Była to polska szopka. Nad szopą naprawdę z deseczek małych skleconą i słomą krytą błyszczało złoto gwiazdy, w szopie na sianie leżało Boże Dzieciątko w żłóbku, a obok stały figury z papieru wycięte i pomalowane — i Matki Boskiej i św. Józefa i trzech króli mędrców ze wschodu, co się przyszli Nowonarodzonemu pokłonić. I byli jeszcze pasterze, jeden do ust piszczałkę przyciskał. A wszystko było oświetlone świeczkami, że figury wydawały się jakby żywe, tylko maleńkie.

Szopkę ustawiono pośrodku stołu, Tomowi sen z powiek zupełnie uleciał, bo oto popłynęła pieśń, pieśń dziwna, nieznaną, polską koledą.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje
Ma granice, Nieskończony —
śpiewali mocnymi głosami trzej Polacy.

Tom nie rozumiał ani słowa, nie słyszał nigdy tej potężnej, przejmującej melodii, ale pojął przecież, że tamci śpiewają pieśń równie piękną i równie wstrząsającą, jak psalmy, które podczas niedzielnych nabożeństw intonował ojciec Brown w Filadelfii.

Podnieś rękę Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrym zdrowiu, dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą... —

buchało modlitewnym żarem błagania z ust śpiewających, a przy końcu tej zwrotki głos im się załamał, zadrżał jakby szlochom długo w piersiach tłumionym, a siłą dotąd hamowane łzy pod powieką zaszkliły się na policzkach. Nagle poczuli się biednymi wygnańcami z krainy swej miłości, z Ojczyzny dalekiej i nieszczęśliwej, bezdomnymi tułaczami na obczyźnie.

Tom patrzył na tę zawsze opanowaną, spokojną, zamkniętą, nieodgadnioną twarz Kościuszki, na której w tej chwili malowała się taka bezmierna tęsknota i tak głęboki ból, że Tom dłużej znieść tego nie mógł. Wstał ze stołka, ukląkł przy Kościuszcze i całując jego dłoń szeptał cichutko z miłością, jakby na pociechę:

— My colonel! My colonel!

Ach, teraz, teraz dopiero ujrzał jak bardzo miłuje swoją daleką i nieszczęśliwą Ojczyznę, tę leżącą na drugim krańcu świata Polskę! I tak miłując swoją wiedzę, swe życie nawet poświęcił jego Ojczyźnie. I serce Toma zabiło jeszcze większym uczuciem i uwielbieniem dla Kościuszki. Pułkownik był jego ideałem już w Filadelfii, ale od czasu wigilii w Trenton chłopiec czcił go począł niemal jak świętego. Wszystko, co czynił Kościuszek, wydawało się godne naśladowania i podziwu.

Mijały lata.

Kościuszek kończył właśnie roboty fortyfikacyjne nad rzeką Hudson w West Point.

Na skale wznoszącej się niemal prostopadle nad rzeką na 180 stóp zbudowano według jego projektów warowną cytadelę, gdzie mogło się pomieścić 600 żołnierzy i wytrzymać długie i ciężkie oblężenie. Zbudowano szereg redut, ustawiono wokoło armaty. Rzekę Hudson zaś w każdej chwili można było zamknąć dla spławu ogromnymi łańcuchami od brzegu do brzegu. Do dziś dnia można jeszcze w muzeum szkoły wojskowej w West Point oglądać ogromne i ciężkie ogniwa tych łańcuchów, którymi zabezpieczał Kościuszek twierdzę od najazdu nieprzyjaciela od strony rzeki.

Był to rok 1780.

Tom ukończył czternaście lat i oto spotkało go wielkie szczęście, spełniły się jego marzenia, został przyjęty jako ochotnik do wojska. Naprawdę był żołnierzem. Radości miał co niemiara, gdy pierwszy raz włożył mundur z błyszczącymi guzikami, gdy przypasał wreszcie szablę. Wprawdzie już teraz nie mógł towarzyszyć swemu pułkownikowi, nie nosił mu planów i rysunków i cyrkli i linijek, ale za to mógł wypełniać różne jego ważne polecenia. Pocztę woził do sąsiednich obozów, bo nikt przecie jak on, Tom, nie orientował się tak dobrze i szybko w terenie, nikt tak dokładnie jak on map nie potrafił czytać.

Miał więc teraz Tom i swego konia i swój mundur i swoją szablę i strzelbę, ale cóż, nie mógł być długo szczęśliwy, bo oto przyszło rozstanie z pułkownikiem Kościuszką, który otrzymał mianowanie na naczelnego inżyniera armii południowej i gotował się do odjazdu z West Point.

Gdy się Tom o tym dowiedział, z trudem hamował łzy, jak na żołnierza przystało, nie płakał.

Kościuszek widział serdeczny żal chłopca, ale czyż mógł Toma zabierać znów w podróż tak długą i uciążliwą przez bezdroża stanów New Jersey, Pensylwanii, Marylandu, Wirginii, aż do dalekiej Karoliny?

— Nie martw się, Tom. Gdy zostaniesz w West Point, będę spokojniejszy o moją skrzynię — mówił Kościuszek do chłopca, chcąc go pocieszyć nieco. — Tam są moje różne obliczenia i plany, chciałbym je kiedyś mieć znowu...

— Yes, my colonel — ze ściśniętej goryczą łez krtani wyszeptał Tom, czując jeszcze większe wzruszenie, że puł-

kownik ma do niego tak wielkie zaufanie, skoro jemu właśnie powierza opiekę nad swymi planami.

O wiele, wiele mil na południe od West Point czekała Kościuszkę ciężka i odpowiedzialna praca. Musiał posuwając się wzdłuż rzeki Pedee (Pidi) wyszukać dobre pozycje dla wojska, zbadać możliwości przeprawy na drugi brzeg, dowiedzieć się o ilości zboża w okolicznych farmach, by można było wyżywić zbliżającą się armię.

Nie łatwo mu było przedzierać się wśród cyprysowej puszczy, okolicą bagnistą, pełną krzewów laurowych i dębczaków wodnych, wśród gałęzi z których całymi naręczami zwieszał się brodaty srebrzysty mech, gęstwiną przemykały w górze wiewiórki i do rysia podobne dzikie koty, a dołem sarny i jelenie, gdzie ustawicznie trzeba było uważać, by nie zapaść się w bagna zdradliwe i grzaskie. Kościuszko w ciągu miesiąca zebrał potrzebne dowództwu wiadomości, napisał raport, przesłał mapy i przyznano, że jego sprawozdanie miało wielki wpływ na przebieg wyprawy. Oceniając jego pilność i zdolności powierzano mu coraz to inne prace fortyfikacyjne. Jego ncwy zwierzchnik gen. Green nie szczędził pochwał pisząc o nim jako o najmlszym towarzyszu broni, który wyróżniał się „bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań albo pretensyj dla siebie samego, nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecenia cudzych zasług”.

Istotnie Kościuszko o sobie nie pamiętał. Inni już dawno z pułkowników zostali generałami, chociaż nie mieli za sobą ani tylu rzek przebytych, ani tylu wzniesionych fortyfikacji, ani nie potrafili tak jak Kościuszko rysować map.

Dobiegał już szósty rok od chwili, gdy wylądował w Filadelfii. Szósty rok włóczęgi przez stępy i puszcze, przez góry i doliny, szósty rok, który spędził nie tylko na pracy inżyniera, ale był również w ogniu bitew, prowadził oddziały do walki. Nieraz wspominał Toma, myślał o tym swoim asystencie najpierw, a później żołnierzu w West Point.

Gdyby teraz zobaczył Toma, nie poznałby go z pewnością. Chłopak wyrósł i zmężniał. Nic dziwnego przecież kończył siedemnaście lat. Twarz miał ogorzałą od wichrów stepowych, zahartowaną na mróz i spiekotę. Oczy bystre, słuch wyostrożony, a rękę niezawodną, gdy składał się do strzału. Nie był już Tom zwykłym żołnierzem, ale chorążym, gdyż wyprowadził

szcześnie oddział z zasadzki przygotowanej przez czerwone bataliony.

Teraz prowadził Tom swój oddział do fortecy ze zwiadów. Przejmujący grudniowy chłód chodził po kościach, ścinając krew w żyłach. W przedwieczornej ciszy parskały tylko konie.

Szybko zapadający mrok zaczął obejmować ziemię. Na niebie zapalało się coraz więcej gwiazd.

Tom znał doskonale okolicę. Trafiłby i w zupełnych ciemnościach do fortu, ale wolał szarówką minąć wzgórze.

— Licho wie, co tam się czai za nimi — myślał, dając swemu koniowi ostrogę. Głuchy tętent koni rozlegał się po zamazniętej grudzie, gdy nagle padły strzały. Pierwsza kula bzyknęła jak zła kąśliwa osa Tomowi tuż niemal koło ucha.

To czerwone bataliony przygotowały znowu zasadzkę wśród wzgórz. Kule coraz gęstszym poczęły się sypać gradem.

— Z koni chłopcy — zakomenderował Tom.

— Cel koło dębca, w prawo — mówił wyraźnie i dobitnie.

Na ciemnym szafirze nieba gwiazdy płonęły coraz mocniej, a kule gwizdały od strony wzgórz coraz to słabiej. Za to powstańcy przylili ze swych strzelb na wroga aż miło.

— Poruczniku, zmykają — meldował Tomowi, któryś z żołnierzy.

— Dalej, chłopcy! Na koń! Za nim! Dalej, na wroga! Za wolność! Naprzód — krzyknął Tom i pognął pierwszy, a za nim reszta. Ledwie o kilka stajów byli od wzgórz, gdy znów gwizdnęły kule. Jedna z nich drasnęła Toma w ramię.

— Naprzód! — krzyknął czując piekący ból.

Żołnierzom nie trzeba było powtarzać rozkazu. Wśród pagórków toczyła się zacięta walka. Powstańcy nacierali coraz śmielej i bliżej i niebawem stali się panami sytuacji, a uciekający wróg pozostawił nawet rannych na placu boju, ostrzeliwując się jednak ciągle.

Tom mimo bólu w ramieniu posyłał im też celne strzały, aż nagle zachwiał się na koniu. Uczuł ostre ukłucie gdzieś w okolicy serca.

— My colonel — wyszeptał osuwając się na ziemię.

A jego pułkownik Kościuszko w tej samej chwili objęzdził nocne posterunki w świeżo zdobytym mieście Charleston.

Był bardzo zmęczony. Do południa trwała krwawa bitwa. Musiał skupić całą swą uwagę, by wydawać odpowiednie rozkazy. Wjechał jako zwycięzca do miasta. Widział na ulicach

swych żołnierzy, byli tak samo jak i on przemęczeni, nie wyspani, a tutaj należy czuwać — całą noc. Nie wiadomo, co nieprzyjaciel może urządzić. Trzeba dać żołnierzom dobry przykład i czuwać także.

— Washington — rzucił hasło wartownikom.

— Wolność — zabrzmiał odzew.

— Co słyhać? — spytał jednego z żołnierzy wskazując na jego obwiązaną rękę.

— Wszystko w porządku, my colonel — odparł żołnierz.

Kościuszko uśmiechnął się. Podobała mu się odpowiedź i postawa rannego i rozczuliła nazwa. — My colonel. Dotąd słyszał ją tylko z ust Toma.

— Ostańcie z Bogiem — rzekł do żołnierza.

— Dobranoc, my colonel — odparł żołnierz.

Kościuszko zawrócił konia. Jechał stępą utkwivszy oczy w niebo gęsto usiane gwiazdami. Nagle od granatowego stropu oderwała się jedna nad inne jaśniejsza, zatoczyła świetlisty wspaniały łuk i zgasła.

— Spadająca gwiazda — szepnął Kościuszko, któremu przypomniała się opowieść z lat dziecińczych jeszcze od matki zasłyszana.

„Oto każdy człowiek na świecie — mówiła niegdyś matka — ma swoją własną gwiazdę błyszczącą wśród nieba wysokiego. Póki człowiek żyje, gwiazda jego łśni, gdy umiera, jego gwiazda spada, gaśnie. I dlatego synku, gdy widzisz spadającą gwiazdę, to pomódl się zawsze, by dobry Bóg przyjął do siebie duszę odchodzącego z tej ziemi człowieka“.

I Kościuszko się modlił, nie wiedząc, że daleko wśród niewielkich pagórków, pod gwiazdźistym sztandarem nieba żegnał go Tom swym ostatnim westchnieniem.

Zofia Turowska

Po zwycięskim zakończeniu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki mógł Kościuszko żyć spokojnie i dostatnio za Oceanem, mając tytuł i pensję generała za swe wojenne zasługi i kawał ziemi na własność.

Serce ciągnęło go jednak do kraju, gdzie po długich latach upadku i hańby obudził się duch patriotyczny, z którego wyrosła głośna ustawa zwana konstytucją trzeciego maja. Pizeż szereg reform zwłaszcza skarbu i wojska postanowili Polacy ratować Ojczyznę.

W samą porę odpłynął w r. 1784 Kościuszko z Nowego Jorku.

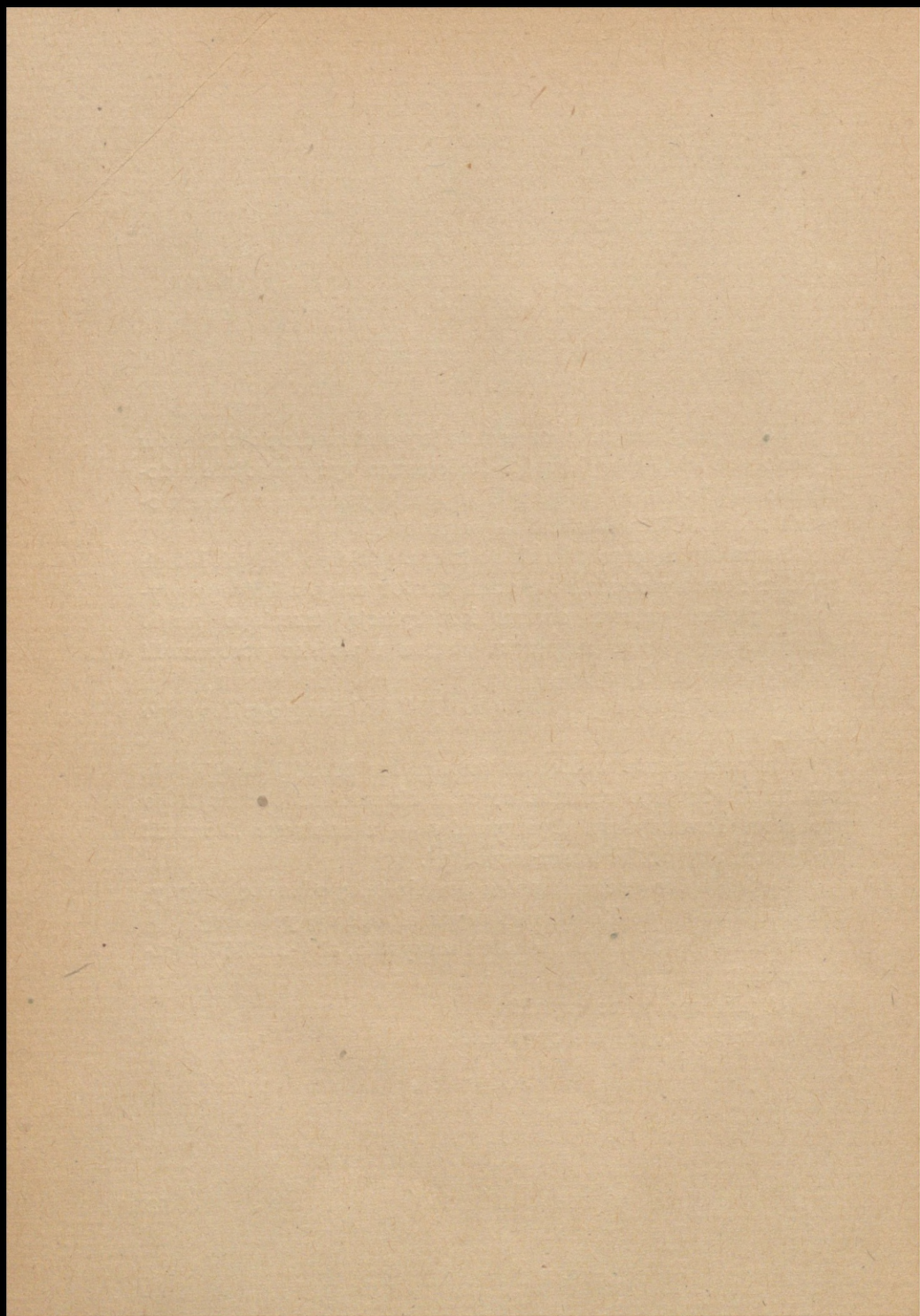
Na pożegnanie wdzięczni towarzysze broni i przyjaciele ceniąc zalety jego rozumu, serca i charakteru obdarzyli go medalem Towarzystwa Cyncynatów — z napisem: „Porzucił wszystko, aby ocalić Rzeczpospolitą”.

Dwóch tylko cudzoziemców dostało taką odznakę, a jedynie w stosunku do Kościuszki napis okazał się proroczy.

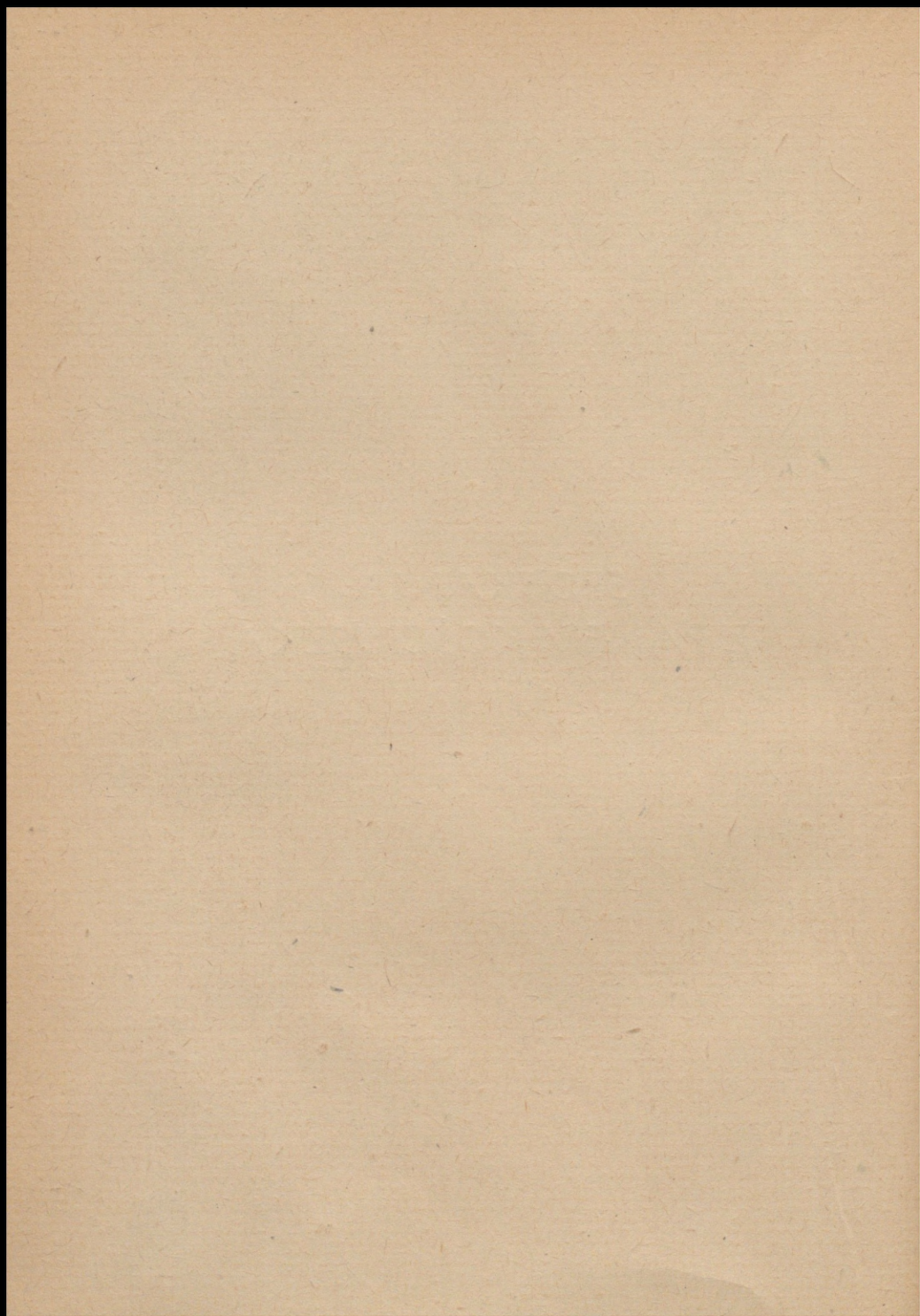
Istotnie on bowiem „porzucił wszystko, aby ocalić Rzeczpospolitą”.

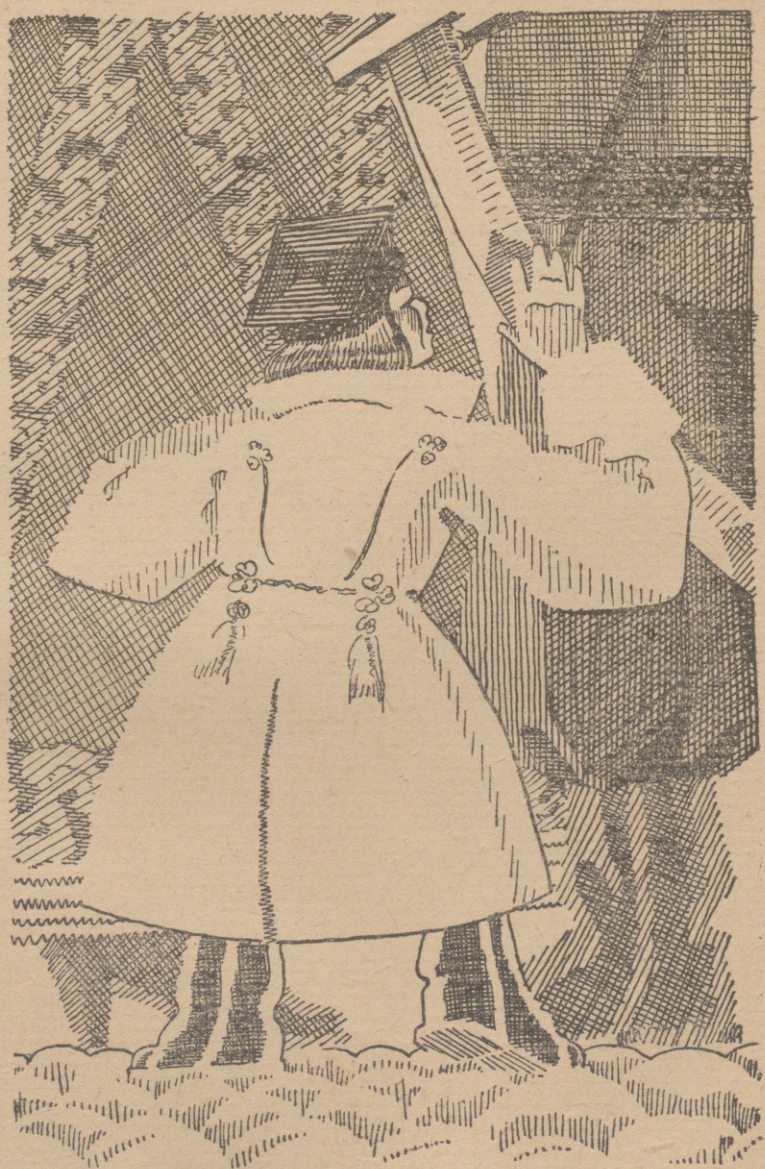
W jaki sposób to czynił?

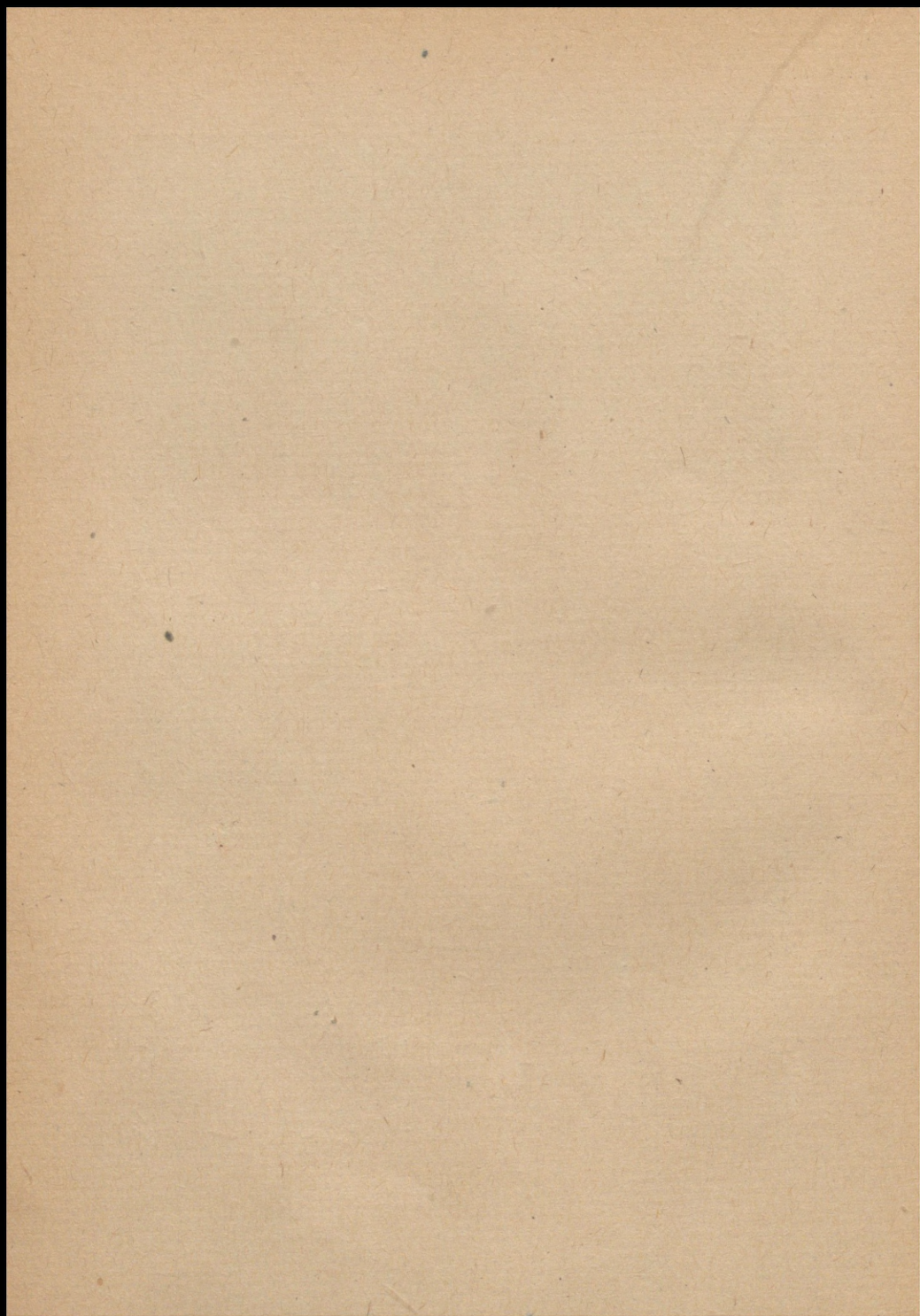
Niech mówią dalsze opowieści.



SPOTKANIA
Z PANEM KOŚCIUSZKĄ







— A ta królowa chałupa, to musi je całkiem ze złota — powiedział jeszcze Waluś i od razu zamilkł, bo tato odwrócił na niego z koźlą bardzo czerwoną i bardzo rozzłoszczoną twarz, a potem groźnie machnął batem.

Dlaczego tato nie lubił królów i gniewał się jak Waluś o nich mówił? Waluś przepadał za bajkami o królach, które zimą przy darciu pierza i przy przedzeniu opowiadała po chałupach stara Margośka. A królowie jak wiek wiekiem mieszkowali przecie w Krakowie, w takiej ogromnej chałupie, na takiej wielkiej górze, co ją wołali Wawel. A Waluś jechał teraz pierwszy raz w życiu do Krakowa, bo tatę wysłał pan wozem po żelazo i siarkę. I Waluś chciał koniecznie zobaczyć króla w Krakowie, ale tata nie chcieli wcale gadać o królu, i byli tacy źli, że aż strach.

— Nie ma tamoj żadnych królów — zakrzyczeli. — Cicho mi bądź! Byli króle, byli ale się skończyli. A ten ostatni, to szkoda gadać, zdrajca i Moskałom służy. — I coś jeszcze takiego dziwnego tato powiedzieli ciszej i jakby do siebie: Targowica...

Targowica — to jest takie słowo podobne do targu. Waluś przepadał za targiem; bo wtedy przyjeżdżali handlarze, rozstawiali na rynku w miasteczku stragany i budy i Waluś dostawał zawsze obwarzanek, albo słodką bułkę. Więc uśmiechnął się wesoło i zatupał na wozie nogami, które mu zmarzły od długiej jazdy i zaczął podśpiewywać:

— Targowica, Tar-go-wi-ca!

I teraz tata rozzłoszcili się już na dobre. Utrapienie prawdziwe z tym chłopaczyskiem. Po co go było brać, takiego głupka w tyłą drogę? Tatowi tu skóra cierpnie, czy aby cało dojedzie do miasta, bo to rozmaicie gadają o Moskałach, co stoją w Krakowie załogą, o żołnierzach z polskich pułków, co to niby zwolnieni ze służby ukrywają się po wsiach, o jakichś spiskach, o jakichś bojach... Niebezpiecznie dzisiaj jeździć po

drogach... A ten bachor zatracony jeszcze mu na złość o Targowicy śpiewa.

— Tfu! — tata splunęli i zaczęli się dla rozgrzewki mocno zabijać rękami w plecy i w boki, bo ranek, chociaż marcowy, był przejmujący i ostry, przy pogodnym niebie.

Waluś zamilkł i rozglądał się w koło. Drewniane domostwa, dworki i ogrody otoczone płotami stały tu gęściej niż w poprzednio mijanych wioskach. Od wczesnego słońca tajały już kałuże. Powietrze pachniało w bliskości domów dymem i ciepłem gotowanej strawy. Jacyś ludzie o twarzach żołnierzy, ale w ubraniach nieżołnierskich kręcili się koło otwartych stodół i stajni i znikali na odgłos nadjeżdżającego wozu.

Chłopiec zeskoczył teraz z wozu i biegł koło konia. Od razu zrobiło mu się ciepło i serce zakołatało mocno od biegu i od ciekawości. Kraków... Kraków... Więc jak też wygląda ten Kraków? Czy tak jak tutaj, prawie jak gdyby w ich własnej wsi pod Skalmierzem, czy tak jak na obrazach w kościele? Nagle podniósł w górę oczy i krzyknął:

— Olaboga! Co to było? — W tym miejscu, gdzie było już bardzo dużo zabudowań i drzew, gościniec urywał się nagle i rozgałęział. Na wprost wyrastały w dali jakieś zielone wały i doły, mury czerwone, obrośnięte i wysokie. Chałupa okrągła jak bęben i strasznie wielka nagle zastąpiła im drogę, dokołuśka na dachu miała pełno wieżyczek, jak w kościele. Inne domisko, wysokie i chude z zieloną czapą na wierzchu stało tuż za nią, a wszędzie i z prawa i z lewa pełno było wysokich wież.

Waluś oniemiał. Czegoś takiego nie spodziewał się tu zobaczyć. Słońce właśnie wyszło zza chmury, ściany zrobiły się jeszcze czerwieniejsze, a dachy zieleniły się tak jaskrawo jak trawa. Zaś w górze ponad tymi murami, ponad tymi ostrokończastymi dachami stała w niebieskim niebie jeszcze jedna wieża, cienińska jak igła i na niej to paliła się żywym ogniem złocista korona.

Waluś stał jak wryty z zadartą w górę głową i niczego już nie widział i nie słyszał. Nie widział, że pod murami stoją na warcie żołnierze z bronią u nogi, że w czworościennym słupie czerwonej bramy jest wejście, ciemna dziura, którą wjeżdżają podróżni do miasta. Że ich wóz z tatą na koźle minął już most i stanął przed tą bramą, gdzie podbiegli do niego wartownicy.

Co to takiego było? Nie bywało tak zazwyczaj przy wjeździe do Krakowa... Tato ściągnął lejce, przyhamował konia

i potem już stępa, spokojnie, ale z lękiem w sercu podjechał do bramy. Dopiero przed samą furtą obrócił się i poszukał wzrokiem syna. Waluś stał tymczasem tak, jak stanął, z szeroko otwartymi oczami i rozdziawioną buzią i patrzył jak urzeczony na złotą koronę w górze.

— Co to tata? Co to takie złote i wielgie? — wybełkotał. — To musi król, sam król. O Jezu, król? — krzyknął tak głośno, że obcy uzbrojeni ludzie spojrzeli badawczo na chłopca na wozie i na wołające dziecko.

— Jaki ta król? To je wieża kościelna a nie żaden król. Od Panny Marii wieża, — aż się zadyszał przerażony tata. — Cicho bądź! — I pokornie, jak gdyby z tłumaczeniem i prośbą spojrzął na wartowników spod bramy.

Ale ci ludzie już nie patrzyli w jego stronę. Mieli widać ważniejsze sprawy na głowie. U bramy zrobił się zator. Jakiś wielki pański poczt wyjeżdżał właśnie z miasta ulicą Floriańską i tu właśnie, przy tej bramie zatrzymano go, tłumacząc, że wyjazd z miasta jest dziś wzbroniony. Jadący pan i jego służba nie chcieli usłuchać tego rozporządzenia, gniewali się, krzyczeli... Warty powtarzały głośno rozkazy. Podniesiono broń.

Z drugiej strony wypytywano o coś wojskowych, wjeżdżających do miasta na koniach. Padały nazwy, pytania...

— Rejment szefostwa Czapskich? Kompania artylerii Deybla...

A potem jeszcze w ten natłok wojskowych i cywilnych, wjeżdżających i wyjeżdżających, zgromadzonych w ciasnej czeluści wjazdu do Krakowa, wpadli jacyś dwaj ludzie młodzi i ubrani dziwacznie, całkiem czarno. Ci ludzie nie mieli broni, tylko białe bandolety przez pierś i na nich jakieś napisy. Szepotali coś ze sobą...

I Waluś, który wdrapał się już spowrotem na wóz i trzymając tatę za rękaw, czekał z drżeniem serca, czy groźny wojskowy, skinieniem ręki pozwoli im wjechać do Krakowa, usłyszał, nic nie rozumiejąc, brzmienie dziwnych słów:

— Hasło? — Śmierć lub Wolność. A potem cichy okrzyk:

— Vivat Kościuszko!

* * *

— Kościuszko i Kościuszko. Co to właściwie znaczyło? Waluś ze zdziwieniem stwierdził, że tu w Krakowie wszyscy ciągle powtarzają to dziwne słowo. I nic znowu nie rozumiał. Tuż za bramą dostali się wraz z tatą i wozem w wąski przejazd między dwoma rzędami wysokich domów i parkanów. Waluś nigdy nie widział, żeby domy były takie wielkie i stały tak blisko siebie, żeby miały takie pochyłe od dołu ściany i spiczaste dachy. I nigdy nie wyobrażał sobie, że wąskim przejściem między tyloma domami może biec tyłu ludzi, krzyčeć, popychać się, mijać w rozmaite strony.

Parę kroków, do pierwszej poprzecznej ulicy można było jeszcze od biedy ujechać. A potem już — szkoda gadać. Koń i wóz uwięzły w zatorze innych koni i wozów i znieruchomiały, a w koło nich kłębił się tłum mieszczan, szlachty, kobiet, dzieci, krzyząc bez końca to dziwne słowo: „Kościuszko”. Gdzieby zaś był ten Kościuszko? I co to było takiego? Jakaś kość taka, czy co? Waluś byłby się zapytał taty, ale milczał, pamiętając poprzednią awanturę o Targowicę.

Tato musieli jednak wiedzieć swoje. Bo, nie usiłując już przebić się przez tłum ludzi i pojazdów, poczęli się wycofywać tyłem, z powrotem, ku Bramie Floriańskiej, i tam zaraz na wprost kościoła Pijarów zajechali we wrota znajomego zajazdu. Prędko, prędko, aby tylko konie wyprządz, wprowadzić je do stajni i zadać im obroku. Tata ani myślał o zakupach dla pana, ani myślał pytać gospodarza o składy żelaza i siarki. O czym innym musi gadali żarliwie, wsparci o szynkwasy, zetknąwszy się prawie głowami.

— Od strony Wsypek? — zapytał jeszcze tata, kładąc magierę na głowę. — A gdzie to? — Wedle Ratusza, jak do Szewskiej bramy droga. Nie wicie? — No. — Tata chwycił Walka za rękę, widać, żeby mu się nie zgubił i wyszedł na ulicę wielkimi krokami.

Ale Walek i tak się zgubił. Póki szli cienistą ulicą między dwoma rzędami ścian starał się jeszcze nadążać za wielkimi krokami ojca. Urwał się jednak, gdy ulica dobiegła do ogromnego placu i tam się skończyła. Blask słońca uderzył chłopca w oczy i zaćmił mu wzrok. Jakieś ogromne gmaszyska stały na wprost, korona na wieży mariackiej złociła się wysoko, z lewej strony. A potem nagle zahuczały dzwony na wysokiej wieży, na Ratuszu. I zaraz potem już nie z wysoka, ale dołem, od innej strony doniosło się bicie w bębny.

— O jeje! Oje! — Waluś rozejrzył się wokoło, ale nie było już przy nim taty... Nie było taty, ani tego jakiegoś Kościuszki, ale placem w dwuszeregu posuwali się żołnierze z różowymi wyłogami i gwerami na ramieniu.

— Rejment drugi szefostwa Wodzickiego — powiedział ktoś z boku.

Na Rynku było teraz wkoło naprawdę tak głośno i tłoczno, jak w samym Skalmierzu, na targowicy. Ale o targowicy nie wolno było przecież głośno mówić, bo tata się gniewają. Waluś i tak nic nie mówił. Oniemiał po prostu od tyłu wrażeń. Zapomniał nawet o tacie. Wcale nie myślał go szukać. Prędko, prędko biegł w ślad za maszerującymi żołnierzami, w takt bicia werblów.

Ustawili się w dwóch szeregach, na prawo od Ratusza, wzdłuż ściany kamienic.

Waluś takby chciał dopchać się do nich jak najbliżej, dotknąć ręką ich mundurów, ich wysokich czap, ich broni. To byli przecież prawdziwi, żywi, polscy żołnierze... Ale dostać się do nich nie było łatwo. Tłum pchał się, kolebał, odtrącał łokciami, deptał nogami małego wiejskiego chłopca. Waluś, jak piskorz zwił się między butami starych węsatyh jegomościów w szlacheckich i miejskich strojach, grubych prze-kupek, studentów i urzędników. Wpychał się coraz głębiej w tłum, zadyszany, potargany, po prostu nieprzytomny od wrażeń.

— Idą, idą... Od Szewskiej furty idzie... Będzie przysięgał. Wodzicki, Linowski z nim... — zadyszały w koło jakieś głosy.

I znowu uderzono w bębny, a potem nastąpiła chwila głuchej ciszy.

— Kto idzie? Gdzie? Dokąd... Zduszony i oślepiiony w tłoku, szarpiący się w ciemności, pod ciężarem cudzych ciężkich ciał, Waluś słyszał tylko bicie własnego serca i nic nie rozumiał.

— O Boże, żeby coś zobaczyć, żeby któryś wyrzucił, żeby się dowiedzieć — zaszłochał z całego serca, podnosząc jak najwyżej głowę. Ale nosem trącił tylko w łokieć jakiegoś zasapanego jegomościa.

— No, co? Chcesz zobaczyć mały? Patrz się, patrz, pamiętaj na całe życie to, co tu widzisz...

Czyjeś ręce mocno chwyciły Walusia, jak małego kociaka i podniosły go w górę. Teraz, wydzwignięty wysoko, ponad

ramię starca w ciemnym mieszczańskim żupanie zobaczył niebo i wysokie gmachy i znowu zmrzył oczy od słońca.

Cizba ludzka falowała ze wszystkich stron, na stopniach Ratusza i pod domami na wprost i nawet na dachach. Ale tu blisko, między dwoma szeregami wojska, plac był pusty i kamienie bruku świeciły w słońcu.

I tam właśnie, między tymi szeregami wyprężonych żołnierzy widać było gromadkę ludzi i sztandarów. Jeden z tych ludzi stał z osobna pod największą chorągwią. W ogromnej ciszy, która panowała w koło, ten nieduży człowiek coś nie głośno mówił.

Nie był piękny. Waluś widział dobrze z daleka jego zwyczajną, pospolitą twarz. Nie był ubrany bogato, ani po wojskowemu. Patrząc na niego, nie można było wcale poznać kim jest — generałem, czy wielkim jakimś dziedzicem? Mówił cicho i głos jego gubił się i zatracił na ogromnym placu w szmerze tłumu i szczękaniu broni.

Raz tylko niewyraźne słowa uderzyły w ucho Walusia:

— Dla ugruntowania powszechnej wolności...

Co to było — powszechna wolność? Po co było to wszystko?

Waluś był małym, głupim chłopcem spod Skalmierza, i nic a nic przecież nie rozumiał. Ale od tych słów zabiło mu znowu mocno serce. Nieduży człowiek pod wielką chorągwią wznosił oczy w górę i jego półdługie włosy rozwiały się w koło poblądej twarzy. Głos mu łamał się i drżał, gdy powtarzał słowa przysięgi. I jednak wielka siła wiary i prawdy musiała być w jego postaci, bo wszystkie twarze patrzących ludzi ściągał ten sam wyraz oddania, wiary i uniesienia.

Mały Waluś podniósł obie ręce wgórze i zachybotał się na ramionach trzymającego go starca.

— O Jezu. Kto to? To musi król? — pisnął cienko.

A z dołu niski, cichy głos odpowiedział mu poważnie, z naciskiem:

— To nie król, dziecko, nie król. To ktoś o wiele ważniejszy. To Kościuszko.

* * *

Teraz już Waluś wiedział i nie musiał się wstydzić, kiedy mówiono: Kościuszko i Kościuszko.

Niejedno widział, o niejedno się donytał. Powiedzieli mu dorośli, kto to jest Kościuszko, jak to on w Ameryce wojował,

jak teraz powstanie obwołał. Powiedzieli mu o królu, jaki jest tchórzliwy i jak się z wrogami Polski brata. I powiedzieli jeszcze o Targowicy i o tym jak się wielcy panowie i wielka szlachta zmówili w tej Targowicy, żeby z pomocą carowej ruskiej i jej wojska obalić prawa, które przedtem Polacy w Warszawie ustanowili. Te prawa były dobre, miejskim i nawet chłopom miały służyć i wszyscy się na nie zgodzili i nawet król na nie przysięgał. A potem ci panowie zdradę urządzili i z Moskalami się zeszedli i król przeszedł na ich stronę. Nie byłoby do dziś dnia żadnych dobrych praw dla ludzi, gdyby nie pan Kościuszko. Więc nic dziwnego, że tata się tak zeżlili wtedy w Krakowie, kiedy im Walus o królu i Targowicy ciągiem gadał..

Wiedział już o wiele więcej niż inni chłopcy na wsi, a co najważniejsze: widział przecież samego, żywego pana Kościuszka na Rynku w Krakowie. Bajał też ile wlezie chłopakom przy pasionce, a głównie Józkowi, z którym się najbardziej towarzyszył, i który najchętniej go słuchał.

Ale nie tylko wśród chłopaków, w całej wsi — pan Kościuszek zrobił się teraz najważniejszą osobą na świecie. Panowie we dworze i dworscy w czworakach i wszyscy ludzie po chałupach mówili o przysiędze na krakowskim placu i o ogłoszonym powstaniu, o tym, że już niedługo, a Moskale pójdą sobie z Polski na bory, na lasy... Mówili jeszcze i o czym innym, ale już ciszej, poufnie, z nadzieją i z niewiarą.

Jak to będzie? Czy naprawdę będzie lepiej chłopom po wsiach? Czy ta insurekcja naprawdę jest nie tylko dla panów?

Marzec się już kończył, roboty w polu były pilne, ekonom gonił na pańskie, ale coś się jednak odmieniło we wsi i w ludziach... Inaczej rozkazywał dziedzic, inaczej słuchali go poddani.

A jedni i drudzy wyglądali, czy aby oddziały rosyjskie nie pojawią się na drodze i nie obrabują wsi? I jakie to wieści przyjdą z Krakowa. Wieści przychodziły raz dobre, to znów markotne, Moskale to tu, to tam ukazywali się, goniąc polskie oddziały. A któregoś dnia przyszła z obozu Kościuszki wieść, że rozpisano pobór i że nie tylko panowie, ale i chłopci mają iść na tę wojnę.

Tata usłyszawszy to naradzał się długo z sąsiadami, a potem poszedł także do dworu, do pana. Bo pan teraz w tych nowych dziwnych dniach chętnie chciał rozmawiać z tatą. I pan wcale się nie gniewał, że wtedy z Krakowa nie przywiózł

tata wozem żelaza, ani siarki, bo przecież i tak wszystko żelazo i siarkę i saletrę ze składów w Krakowie oddali kupcy na „insurekcję”, na powstanie.

Matusia zaczęła bardzo lamentować, kiedy tata wrócili od pana ze dworu, ale tata się ino śmieli. Cóż to, powstanie to powstanie. Z każdego pięciu dymów ma iść na wojnę jeden rekrut dymowy, to znaczy młody, silny chłop. Czy tata nie jest czerstwy? Czy nie ma to sposobnych lat? I czy nie wstyd by mu było siedzieć w domu i na pańskim tyrać, kiedy teraz może, przez tę wojnę coś się lepszego dla jego dziecka odmieni...

I tata zaczął się szykować na wojnę jak na bal. Glansował swoje kościelne buty do pucu. Blaszkę na pasie czyścił i pikę długą nastawiał i siekierę ostrzył. A matusia tymczasem popłakując zszywała mu wielką płachtę w dwa bryty, krochmaliła dwie koszule i piekła chleb na prowiant. Tata i pięciu jeszcze chłopów ze wsi mieli ruszać do obozu lada dzień i w chałupie nie było teraz ani chwili spokoju. Ciężkiem ktoś przychodził z tatą się uradzać, nowe wiadomości przynieść, dobrą nadzieją się pocieszyć. Waluś tylko z musu i bardzo niechętnie wypędzał bydło na łąkę, albo latał na posyłkę, jak było przykazane ze dworu.

Przyjemniej było siedzieć w kącie, piec sobie podpłomyki w gorącym popiele i słuchać. Wieczorem przy migotliwym blasku łuczywa młody sąsiad, uczony na książce czytał odezwy i pisma rozesłane po kraju przez Naczelnika Kościuszkę. Wolno i z wysiłkiem układał z liter trudne słowa:

— Nikt z Polaków nie może godziwie szukać szczególnego dobra, tylko w dobru powszechnym...

— Co to jest dobro powszechne? — Waluś przykładał się na swym wyrku, ciepło zatulony w kożuszek, zamykał oczy i słuchał. Dobro? Więc, żeby wszystkim było dobrze... I jemu i tatowi i mamie. Żeby było ciepło tak jak teraz i nie głodno. I żeby pan nie zemścił i starosta nie bił i ekonom nie gonił na pańskie. Czy tego chce pan Kościuszko?

I żeby tata wrócił z tej wojny. I żeby Walusiowi nikt przez ten czas krzywdy nie zrobił, żeby ktoś sprawiedliwy, silny, dobry czuwał nad Walusiem...

— Kościuszek panom kazał dobrą pieczę mieć nad rodzinami tych, co na wojnę pójdą. Kościuszek ponoć do księży uniwersał ogłosił... Kościuszko dziedzicom pisał, żeby „nieśli ludziom chłopskiego stanu opiekę i ulgi w robociznie...”

Tak mówiły stłumione chropawe głosy rozmawiających chłopów.

Waluś w ciepłym odrętwieniu pólśnu słyszał te słowa i uśmiechał się szczęśliwie. Pod zamkniętymi jego powiekami zjawiała się twarz blada i wzruszona, usta powtarzające słowa przysięgi.

„Kościuszek, Kościuszek“, szeptał cicho i zasypiał ufnie, wierząc, że to jemu, Walusiowi, obiecywał pan Kościuszeko na Rynku w Krakowie — szczęście, wolność i opiekę...

* * *

Zrobiło się ciepło. Był już kwiecień. I tata uzbrojony i pięknie przybrany ruszył wreszcie któregoś dnia do obozu, w stronę Koniuszy. Szedł z fantazją, w szeregu innych chłopów ze wsi i z okolicy, a Waluś biegł obok niego bokiem gościńca aby jak najdłużej, aby jak najdalej. Ciężko mu było pozostać w tyle, odwrócić oczy od zawadiackiej magiery taty, od jego wyszywanej, brunatnej sukmany i brzęka deł świecących u pasa i wysokiej piki nastawionej na sztorc. Tata był najpiękniejszym i najsilniejszym wojakiem na świecie i markotno było zostawić go tak idącym w szeregu z wesołą piosneczką i wracać samemu do chałupy, gdzie zrzędzi zapłakana matusia. Waluś objął bosc pięty o kamienie i podśpiewywał w marszu razem z wojakami:

Chwyćmy za obuszki,
Chodźmy do Kościuszki...

Ale na rozstajnych drogach tata groźnie nakazał mu wracać. Pod samym Skalmierzem, przez małą rzeczkę Nidzicę przeszli już ponoć Moskale pod generałem Denisowem, a i Naczelnik Kościuszek musiał tu być ze swym wojskiem i armatami tuż, tuż, w bliskości. I generał Madaliński też się z nim — gadają — już spotkał. Bitwa może być lada chwila i chłopak ma wracać do wsi, do matki.

Waluś usłuchał taty, bo musiał, ale nie miał spokoju i nie bardzo mógł spać przez całą noc. Raz po raz przysiadł na swym wyrku i nadśluchiwał. Od strony, w którą pomaszerował tatuś, donosiły się od samego świtu to rzadkie, głuche, to znów rzęsiste strzały...

Armaty? Ale czyje? Waluś słyszał jeszcze wczoraj od taty, że armaty mieli i Moskale i nasi, że za Kościuszką przywleczono z Krakowa sporo trzyfuntowych wiewatówek, co je nasi zgromadzili z darów mieszczan i szlachty.

Jak się tylko ranek zrobił i szare powietrze nabrało przezroczystości, wybiegł Waluś przed chatę i nastawił uszu. Ale powietrze było teraz ciche i nic nie świadczyło o tym, że w stronie Działoszyc, tak niedaleko stąd, mogły się spotkać dwa walczące wojska. Jeżeli bitwy nie ma, to tatowi nic nie będzie i Waluś jest tam niepotrzebny. Waluś wsadził palce między zęby, zmarszczył czoło i rozmyślał — co zrobić?

Ale matusia wracała właśnie ze skopkami od doju i bardzo srogo krzyknęła, żeby parzonkę dla bydła szykował. Więc Waluś tylko westchnął ciężko i poszedł do codziennej roboty.

Ale po południu, kiedy z Frankiem od Dusia i z Józkiem zza działu paśli dworskie krowy na łące pod lasem, znowu odezwały się strzały, tym razem wyraźniejsze i gęstsze.

— Słyszysz, Franek, strzelają.

— No to strzelają, abo co? — Franek wytrzeszczył oczy i ziewnął.

— Nie wiesz? Nasi się biją z Moskałem...

— A no, niechta...

— Jaki tyż ten Franek, niedojda taka. — Waluś odwrócił się od niego plecami i mrugnął porozumiewawczo na Józka.

— Józus, polecim?

— No... Józkowi nie trzeba było drugiego słowa. Tak jak stał, nie odezwawszy się nawet do Franka, puścił się miedzą w stronę strzałów tak prędko, że mu tylko gołe kolana wyskakiwały w biegu z dziur na parcianych portkach. A Waluś zaskoczony tą nagłą decyzją przyjaciela, pobiegł w ślad za nim, trochę zdziwiony własną odwagą i trochę przestraszony myślą, jak to będzie z powrotem i co powiedzą na tę wyprawę matusia, a nade wszystko ekonom. Ale, trudno, co będzie, to będzie, wracać już było za późno.

Waluś dobrze znał drogę, idącą do Dziemierzyc i tę drugą, skręcającą do Działoszyc koło folwarku Janowiczki i wsi Raclawice. Z jego wsi rodzinnej nie było tam daleko. I w tej stronie właśnie mieszkała Jewka, tatowa stryjna i matusina kuma, w małej chatce na stoku Kościejewskiej góry. Waluś lubił ją odwiedzać i patrzeć z jej sadku, zawieszzonego wysoko na zboczu na świat, leżący nisko pod nogami, cały pofałdowany, pocięty w równe pasy pól: w lecie zielono-złoty, w zimie brązowy i biały. Stamtąd właśnie od tej góry, gdzie mieszkała Jewka, donosiły się teraz strzały i tam też postanowił się kierować Waluś na spotkanie wojny i taty. Ale Józek miał znowu chrestną gdzie indziej, w samej wsi Raclawice i tam chciał

koniecznie lecieć, bo wydawało mu się, że tam najgłośniej strzelają z armat.

Chłopcy o mało nie pobili się w drodze o cel swej wyprawy. Potem przyszło im do głowy, żeby najlepiej iść krętą górzystą drogą w stronę Markocic. A potem kręcąc się, cofając, błądząc wśród coraz głośniejszego huku niewidocznych armat, walących ze wszystkich stron, zabrnęli do lasu i przysiedli na mokrym mchu. W około nich, górą od stoków wyżyny i dołem w niedalekim leśnym parowie kotłowały się wciąż wybuchy armat i karabinowa palba. Moskiewskie armaty grały od wysokiej ściany góry Kościejewskiej i Waluś nagle bardzo się przestraszył. Serce zaszamotało mu się boleśnie i bezradny strach o tatę ścisnął gardło.

— Gdzie tu szukać taty w takim strasznym huku, gdzie on się tutaj zapędził w ten las, w te krzaki, w te zbocza?

Rozejrzał się lekliwie dokoła i nagle zobaczył oddziałek uzbrojonych jeźdźców, pędzący lasem. Spłoszone, klute ostrogami konie niosły ich galopem naprzeciw. Za nimi w pędzie biegli beładnie kosynierzy... Niektórzy z kawalerzystów mieli ślady krwi na twarzach i mundurach, inni byli tylko zziązani, zakurzeni i bardzo bladzi.

— Uciekać! Uciekać! Ratować się kto żyw! Kościuszek rozbity, Zajączek rozbity. Tormasow nas goni...

Przemknęli między drzewami w ogromnym pędzie a w koło nich świszczały goniące ich kule. Jakiś wielki jeździec z czapą przekrzywioną na bakier o mało nie najechał koniem na Walusia, który przewrócony, potoczył się z płaczem między pieńki i korzenie.

— Kościuszek rozbity! Zajączek zabity! A gdzie tata, gdzie tata? — Waluś leżał na mokrej wiosennej ziemi, między zgniecionymi kwiatami niebieskich przyłasczek i białych zawilców i szłochał... I czuł, że jeżeli to, co wołali ci ludzie jest prawdą, jeżeli Kościuszko przegrał, to on — Waluś już nigdy, przynigdy nie wstanie z tej ziemi i nie wróci do chałupy i nie będzie zwykłym, wesołym chłopcem.

Ale Józek nie był takim mazgajem jak Waluś. Podniósł się z ziemi na czworaki, i jeszcze niepewnie poczołgał się naprzód po drodze, którą teraz nikt już nie jechał. Potem wstał i nadsłuchiwał, przyłożywszy rękę do ucha. — Strzelają, stwierdził. — A jak strzelają, to musi się jeszcze bić. A jak się biją, to ich może jeszcze syćkich nie wybili. A jak ich nie wybili, to się jesce może obroniom... Chodź, Waluś, pójdziem do mojej krzestnej, do Raclawic.

— A już. Szkoda gadać. Pójdziem do Jewki na Kościejowską górę, — skoczył ku niemu Waluś, zapominając o bitwie, strachu i łzach.

I zaraz obydwaj, nie widząc, co się dzieje w około, nie słysząc świszczących kul, zaczęli się kłócić dokąd pójdą.

— Do Jewki! Do krzestnej! — krzyczeli, tupiąc nogami z przejęcia i ze złości jakby dokoła nie było żadnego boju, Moskali ani Kościuszki.

A tymczasem bitwa nie skończyła się wcale tchórzliwą ucieczką dwóch szwadronów kawalerii narodowej, które zła-mali w ataku kozacy i jegry.

Na lewym skrzydle bitwy, w której sam środek dostali się tak nieostroźnie dwaj chłopcy, walczyły teraz kolumny wojsk Tormasowa i szwadrony huzarskie z kawalerią Madalińskiego. W stronę parowu biły armaty rosyjskie a ze zbrocza sąsiedniej wyżyny śpieszył na pomoc Moskałom drugi generał rosyjski — Denisow.

Chwila była ciężka i niebezpieczna. Kule armatnie kosiły drzewa i ludzi. Rwały się, płaśły konie spłoszone od wybuchów, bledli ludzie w ogniu celnego obstrzału.

Dwaj chłopcy, przykucnięci wśród zarośli, na zbroczu wąwozu, umilkli także w pół słowa zaciętej kłótni. Waluś znów bardzo się zląkł. Józus zacisnął obie pięście. Nie odzywali się do siebie oszołomieni bezustannym drzeniem i trzęsieniem się ziemi, ogłuszeni wzmagającym się hukiem. Waluś oplótł kolana ramionami, położył na nich głowę i tak trwał, nie wiedząc, czy płakać, czy się modlić, czy rozglądać się w około, czy trzymać oczy zamknięte, całe piekące od łez.

— Patrz! — krzyknął nagle Józek, szarpiąc go co siły za rękaw.

— Patrz! Kto to? Co to?

A Waluś spojrzął i zerwał się na równe nogi. Na dnie wąwozu, drogą, w dole biegł z wielkim krzykiem ogromny tłum chłopów w białych i brunatnych sukmanach, ława zjeżonych kos i pik. W ślad za nimi z nastawionymi bagnietami gnali piechurzy.

— Na armaty! — Bóg i Ojczyzna! Naprzód! Hurra! Naprzód, wiara! Brać ich! — wyli groźnie i ochryple biegnący uzbrojeni ludzie, przekrzykiwali się, darli, jeden przez drugiego, zdyszani, w pędzie. A głosy ich głużył huk karabinów, walących bokiem, osłaniających swym ogniem ten chłopski atak.

— Tędy, tędy! — wołali oficerowie, wskazując szablami drogę. — Naprzód wawozem pod armaty. Na armaty! Zabierać, chłopcy, zabierać!

Jak Józek i Walek zsunęli się po zboczach, by spaść na łeb na szyję i zmieszać się z potokiem pędzących ludzi, którzy biegli, jak pomagali, co krzyczeli — trudno doprawdy powiedzieć. Żaden z chłopców nigdy potem nie mógł sobie tego przypomnieć. Nagłe przejście od rozpaczy i osamotnienia w tę wichurę barw i broni było jak sen.

Niewiadomo kiedy znaleźli się w tym oszalałym, pędzącym tłumie, i upadając, potykając się, płacząc pod nogami kosynierów, nieśli się razem z nimi, naprzód, naprzód wawozem pod same rosyjskie baterie. A potem jeszcze w górę, stromo po zarosłym zboczach, na samą jego krawędź, tam gdzie stały nieprzyjacielskie armaty z rozdziawionymi zabójczymi paszczami i pluły na nich kulami.

To wszystko trwało właściwie bardzo krótko.

Piki, kosi i bagnety, gołe pięście, czapki, drażgi spadły na armaty i oniemiały je od razu. Zaledwie tylko parę pierwszych kartaczy runęło w wawóz. A potem już nie słychać było strzałów, tylko ryk pogroźek, nawoływań, radosnych okrzyków zwycięstwa. Padali na ziemię, zsuwali się martwi po zboczach wielcy grenadierzy. Ginęli, kładli się pokotem, porażeni dziką siłą chłopskiego natarcia.

Waluś spotkał swojego tatę w największym ogniu bitwy. Spotkał i nie odstąpił go na krok. Razem zagwoździli jedną z pierwszych armat, razem biegli w pierwszym szeregu walczących, razem przysiedli wreszcie zziębnięci, z oczyma zapłoniętymi gorącym potem i cudzą krwią na przewróconej lawecie. Józus znalazł się tu także ze zdobycznym pistoletem w garści i przykucnął przy nich cichutko na ziemi.

Nie mówili nic. Tam w oddali huczały jeszcze armaty. Bitwa toczyła się dalej, za lasem. Generał Zajączek walczył tam z dwoma ostatnimi oddziałami konnicy rosyjskiej i jęgrów.

Tutaj z bliska słychać było tylko rozpaczliwe jęki rannych i ciężkie sapanie zwycięzców. Waluś tulił się do twardej ręki taty, brązowej od zapiekłej krwi, gładził jego pikę wyszczerzoną w zaciętej walce, patrzył w twarz, zapyloną, ciemną i najdroższą. A potem spoglądał rozognionymi aż dzikimi od upojenia oczyma na to pobojowisko pełne martwych ciał, zagwoźdzonych armat, porzuconej broni.

Wszystko było dziwne i straszne, wyglądało jak sen. I Waluś zmęczony, w pół przytomny, zapadł wreszcie w sen, wsparty czołem o szorstki samodział tatowego rękawa.

Kiedy się obudził, było już prawie ciemno i znowu jak gdyby zupełnie inaczej. Z boku, tuż przy zdobycznych armatach paliło się wielkie ognisko. Zabrano już stamtąd rannych, odciągnięto na bok zabitych. Zwycięskie oddziały z biciem w bębny, z radosnym, głośnym trąbieniem ściągały na to miejsce z własnymi i zdobytymi chorągwiami. Kosynierzy i pikinierzy w swych barwnych sukmanach i czerwonych rogatywkach, piechota i gwardia narodowa ustawiały się w paradnym szyku, aby wspólnie wiwatować na cześć Kościuszki i zwycięstwa.

Jakże to pięknie wyglądało przy płomiennych blaskach zapalonych ogni i wysoko wzniesionych pochodni!

Waluś ujrzał teraz pana Kościuszkę po raz drugi w życiu, zobaczył go z bliska i bardzo wyraźnie przy czerwonym i złotym świetle płonących szczap. Znowu, jak wtedy na Rynku Krakowskim nie miał na sobie pan Kościuszek generalskiego munduru, ani królewskiej korony. Wystąpił przed szereg chłopów i żołnierzy ubrany w zwykłą białą sukmanę krakowskiego chłopca.

Ale blask ognia, uwielbienie i chwała zwycięstwa ubrały w takie ogniste blaski jego pospolitą twarz i niepozorną postać, że Walusiowi wydał się znów najpiękniejszym i najwspanialszym człowiekiem świata.

— O Jezu, — zaszepnęła tuż obok niego Józka, zapatrzony z takim samym zachwytem w twarz Naczelnika...

— Ale tyż ten pan Kościuszek piękny. O raju! Istny król!

— Król? Waluś uśmiechnął się z wyższością. On przecież tak samo dawniej myślał, ale już od dawna, najlepiej wiedział, że król nie jest wcale najbardziej godny zachwyty i uwielbienia na świecie. Że być wodzem, Naczelnikiem, zwycięzcą, bohaterem — to o wiele więcej niż być królem...

Ale teraz patrzył jak by po raz pierwszy w tę twarz pełną złotego blasku i uczucia... I odnajdywał w niej jeszcze coś nowego, innego, bardzo bliskiego. W tej zwykłej, chłopskiej sukmanie, tak podobnej do codziennego stroju jego taty — wydał się Walusiowi pan Kościuszek kimś jeszcze zrozumialszym i droższym i o wiele potrzebniejszym i ważniejszym. Po prostu jak gdyby ojcem.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

„Warszawa, Kraków — oczyszczone od Moskali!” — taką radosną wieść podawano sobie z ust do ust po zwycięstwie racławickim.

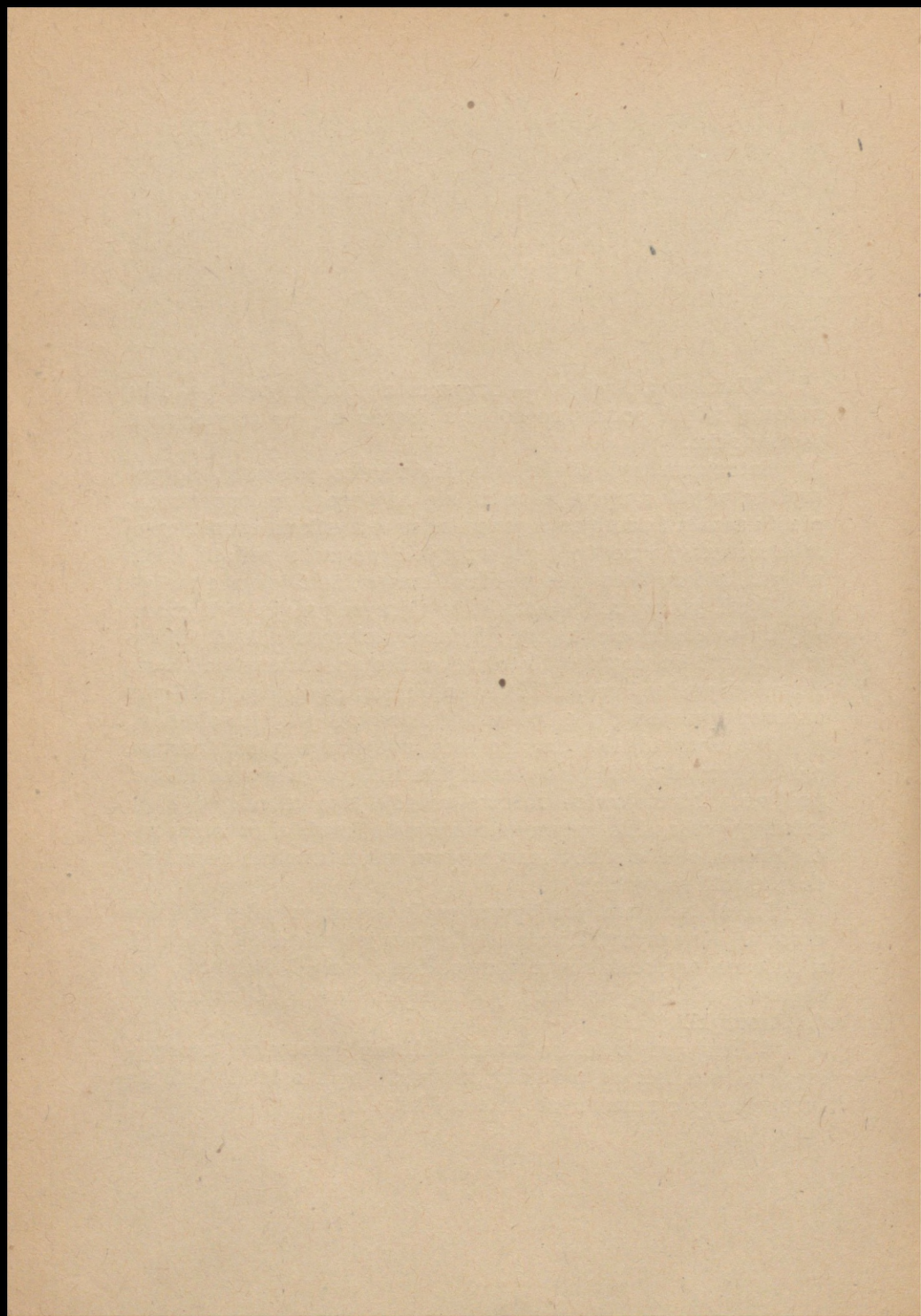
Entuzjazm był wielki, ale Kościuszko rozumiał, że pomyslny wynik wojny „zasadza się najwięcej na upowszechnieniu zapału i uzbrojeniu generalnym wszystkich ziemi naszej mieszkańców, i że do tego wzbudzić potrzeba miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli, nawet, że Ojczyznę mają”.

Tymi, którzy nie wiedzieli, że Ojczyznę mają, byli chłopci żyjący w ciemnocie, nędzy i pańszczyźnianym ucisku. Ojczyznę ukazał im dopiero Kościuszko. Stojąc obozem pod wsią Połaniec, wydał 7 maja 1794 r. uniwersał, czyli pismo, którym w obronę prawa wziął chłopów traktowanych jak niewolników.

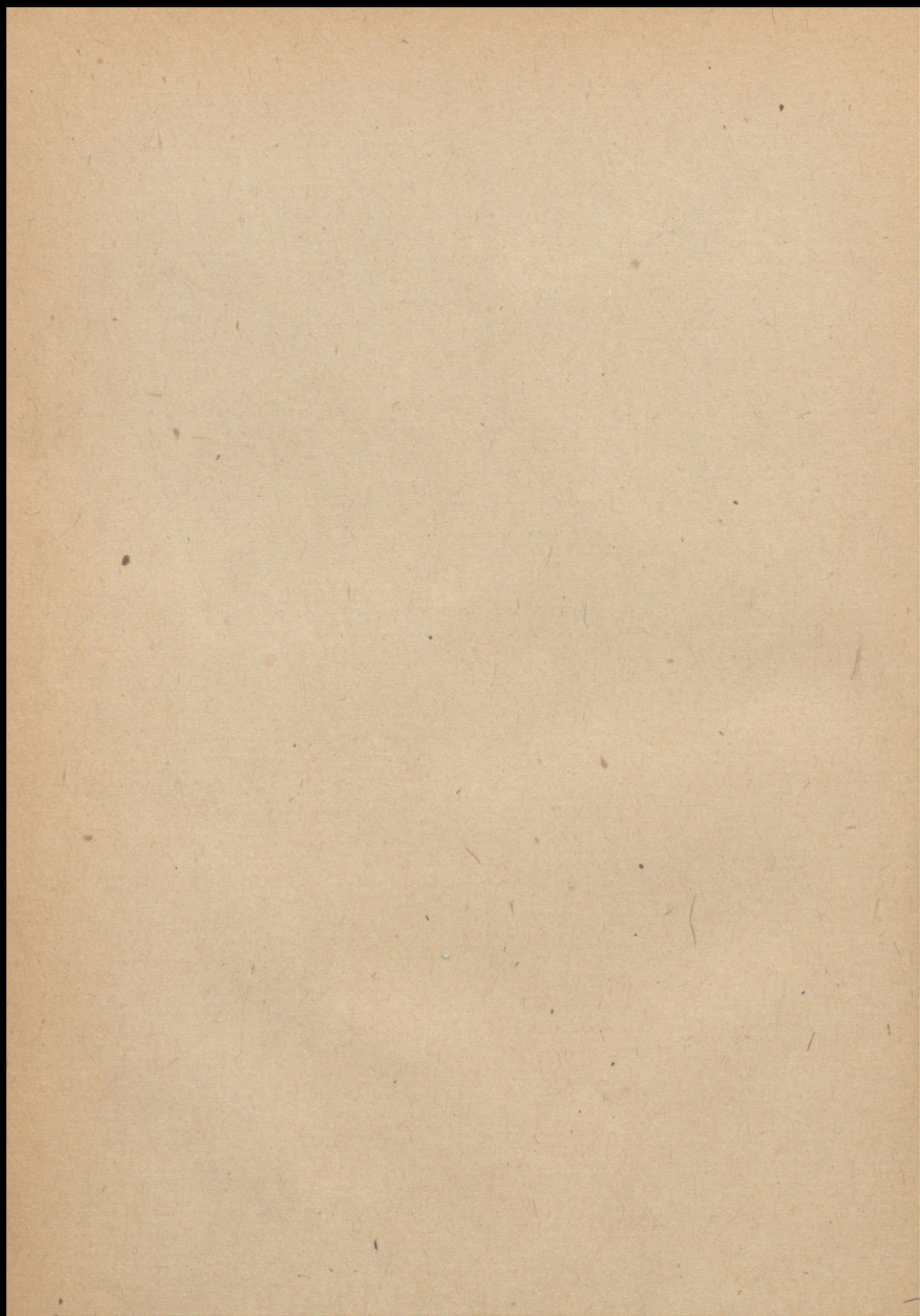
Nie wyzwolił Kościuszko ludu wiejskiego z poddaństwa, nie obdarował ziemią, bo niestety dnia 10 października 1794 r. pod wsią Maciejowice różowe rabaty jego ułanów i białe sukmany chłopskie spłynęły czerwienią krwi, a on sam, naczelnik narodu, ciężko ranny, wraz z całym sztabem dostał się do niewoli rosyjskiej.

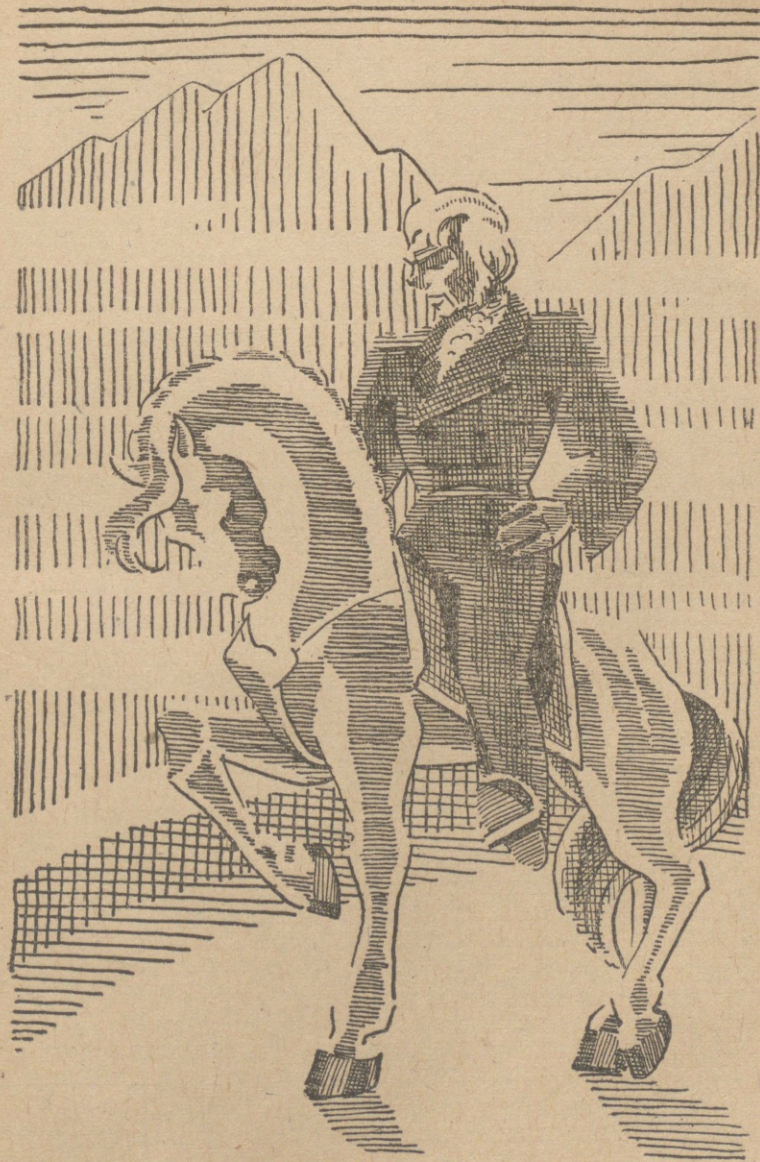
Przez dwa lata przebywał w Petersburgu jako więzień carowej Katarzyny. Uwolniony przez jej następcę Pawła I, u którego wyprosił również zwolnienie innych Polaków, postanowił udać się do swej, jak mawiał, drugiej Ojczyzny — do Ameryki.

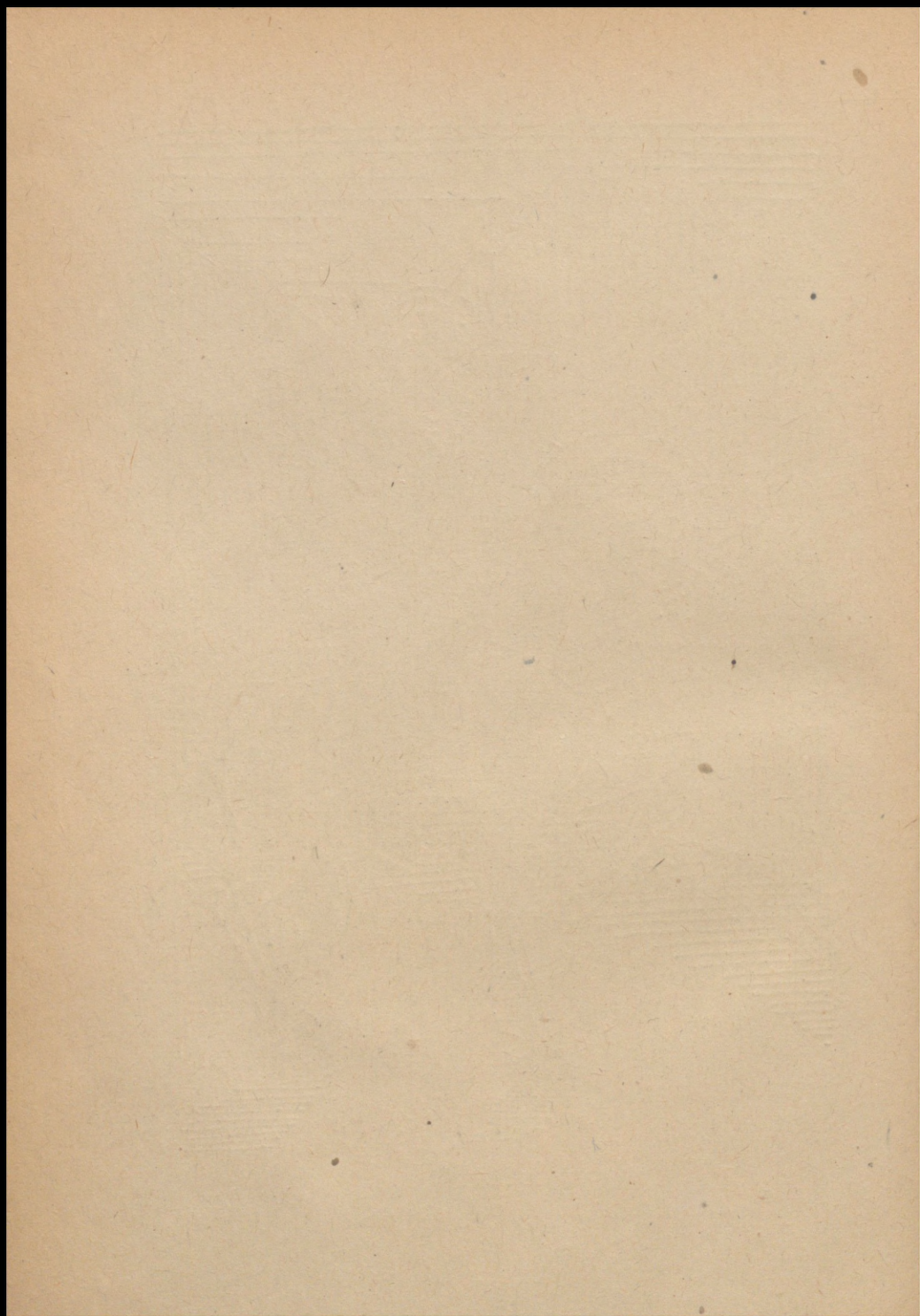
Wierny przyjaciel i adiutant, Julian Niemcewicz, towarzyszył mu w uciążliwej podróży, która nie była ostatnią, jak się przekonamy z następnych kart tej książki.



DOBRE SERCE







Śnieg grubo pokrywał ziemię, był duży mróz 1796 roku, kiedy generał Kościuszko opuścił więzienie. Spędził dwa lata po klęsce pod Maciejowicami, gdzie został wzięty do niewoli.

Kościuszko dostał pozwolenie od cara rosyjskiego, Pawła I na wyjazd do Ameryki. Wybierał się też w podróż.

Ubrany był w mundur amerykański, bo był przed laty w Ameryce i tam walczył o wolność Stanów Zjednoczonych. Mundur był piękny z białymi wyłogami.

Wódz nasz już się wyleczył z czternastu ran, jakie dostał w ostatniej bitwie, ale przestrzelona noga jeszcze nie zagoiła się i nie mógł chodzić. Wożono go więc w wózku na kołach, lub go noszono na noszach.

W te dni zimowe dziwny orszak sunął ulicami miasta. Na przodzie niesiono Kościuszkę, za nim postępowali jego dwaj przyjaciele: Niemcewicz, poeta i oficer Libiszewski. Ten wojskowy był tak silny, że jak dziecko brał rannego na rękę i sam przenosił go do powozu czy na łóżko. Mały pochód zamykali jeszcze dwaj ludzie: jeden biały, drugi czarny, — jeden Polak, — drugi Murzyn. To dwaj słudzy, do których Kościuszkó był serdecznie przywiązany.

Generał bolał zawsze nad niewolnictwem murzynów w Ameryce i nad ciężkimi warunkami poddaństwa chłopca w Polsce. To też Kościuszko, który nie lubił próżnych słów, tylko dobre czyny, dał obu swoim służącym całkowitą wolność.

Obaj mieli mieć w opiece pakunki generała w podróży.

Ze wszystkich rzeczy najcenniejszą była szabla, która towarzyszyła Kościuszcze w największym dniu jego życia, — gdy zwyciężył nieprzyjaciela pod Raclawicami.

Murzyn błyskał białymi zębami i gałkami oczu. Ludzie bali się go, jak jakiego diabła, a to był najłagodniejszy w świecie człowiek.

— Co to za jeden? — pytała się baba w chustce drugiej. — Człowiek — nie człowiek?

— Zawsze lepiej z drogi mu zejść i przeżegnać się, — odpowiadała jej na to starsza.

Przechodnie stawali na brzegu jezdni, wielu zdejmowało czapki przed Kościuszką, który niedawno był więcej niż królem Polski — Naczelnikiem Państwa.

Chociaż Stanisław — służący Polak i Dżon — murzyn, zawsze się kłócili o to, kto ma nieść szablę, to teraz murzyn sam rzekł się tego zaszczytu. A to dlaczego? Bo Dżon dźwigał najcenniejszy pakunek w ramionach i nie chciał go oddać nikomu.

Gdy Kościuszko miał już odpływać i żegnać wybrzeże Bałtyku, szara mgła stała nad morzem. Smutek był w powietrzu, jakby nie tylko serca Polaków, ale i ziemia ta smuciła się, że on opuszcza Ojczyznę.

Żeby płynąć we mgle, nie zderzyć się z innym okrętem — ze statku wysyłany był wciąż głos — ponury. To syrena tak ostrzegała przed niebezpieczeństwem, ale jej wycie czyniło podróż jeszcze sumutniejszą.

Dopiero wszyscy zaczęli się śmiać z Murzyna.

— Pokaż, co tam tak chowasz?

— Nic. — I Murzyn nie pozwolił zajrzeć do tłumoczek. Musiał się aż w tę sprawę wdać oficer. Zobaczył on, jak Dżon wciąż się kryje, a nawet bierze ze stołu to bułkę, to jabłko i ucieka. Także na to zwrócili uwagę marynarze, że tu coś nie w porządku.

Murzyn się uparł, że nie powie nikomu, — chyba Dobremu Sercu, t. j. samemu Generałowi.

Kościuszko leżał na pokładzie statku, zamyślony. Tu nagle staje przed nim Murzyn i do piersi tuli swój podłużny tłumok.

— Nikomu nie oddam, Panie Generale.

— A cóż ty tam masz? — pyta Kościuszko.

— Jak rozkażecie, Generale, to wskoczę do wody, ale temu nie róbcie nic złego.

— A cóż to jest? Cóż złego można zrobić szmatom, bo widzę, że gałgany jakieś wiesz. Oddaj to zawiniątko do przechowalni bagaży, jak wszyscy robią.

— Nie oddam, bijcie mnie, a nie oddam. Ja sam nie zjem, temu dam.

— Czyżby oszalał stary? Chcesz jeść dawać gałganom? Upiłeś się pewnie.

— Nie, Panie Generale.

— Mówiono mi, że cichaczem z okrętowego stołu bułki kradniesz.

— To dla niego, Panie Generale. — Ono głodne.

— Kto głodny?

— O to, — i Murzyn nieśmiało wskazał palcem na zwitek chust, który przyciskał do ramion.

— Cóż ty tam masz? Do licha — już powiedz.

— A czy mu tu nie zrobią nic złego? Czy Dobre Serce nie będzie się gniewać? I ukląkł przed Kościuszką.

— Nie rób komedii, rozgniewał się wódz. Nie pozwolę ci odebrać, ani zniszczyć twoich rzeczy, tylko musisz mi pokazać, co to jest. Nie możesz na okręcie coś przewozić ukradkiem. Pomyślą marynarze, że wieszysz proch, żeby statek wysadzić w powietrze.

Wtedy wielki, niezgrabny Murzyn zaczął rozwijać swój pakunek. Dużo było warstw, to chustka jedna, to druga, kawałek kożucha, jakieś jakby pieluchy, aż wreszcie z tego wyłuskał małe, białe, ciało dziecka.

Aż usta otworzyli wszyscy ze zdumienia na ten widok.

— Skąd wziąłeś tego bachora? Białe, więc nie twoje? — zawołał Stanisław.

— To nieczysta sprawa, zauważył groźnie oficer.

Ale Kościuszko uśmiechnął się. Dziecko podniosło głowę i „postawiło” uważnie oczy na Generała. Czarny Murzyn popielatą ręką odgarniał dziecku jasne włosy.

— Toś nas nabrał, Dżon. Skąd ci przyszło do głowy zabierać takiego pasażera, — ukrywając uśmiech powiedział generał.

— Do raportu z nim, i chłostę wymierzyć, — srożył się oficer.

Murzyn nie odpowiedział, tylko z oczu, jak świeże kasztany, po czarnych policzkach wolno zaczęły spływać białe krople łez.

Nagle małe rozplakało się także, ale już na cały głos, i do tego wierzgało nogami tak, że spadać zaczęły szmatki. Na pokładzie było zimno.

— Zażębi się. — Krzyknął zakłopotany generał.

— Prędeż okryj, — zawołał oficer, i podał pieluszkę, która frunęła. Tymczasem małe schwyciło wojskowego za błyszczący guzik i nagle roześmiało się na cały głos.

— Przykryj go moim pledem, — rozkazał Kościuszko.

— Nie, to ja dam swój, — wyręczył przełożonego oficer.

Murzynowi obeschły oczy. Rozsunął ciemne wargi na białych zębach. Był szczęśliwy.

Najgorsza chwila przeszła. Dwaj wojskowi patrzyli na siebie trochę zawstyżeni. Ale cóż, skoro dziecku pożyczili swoich płaszczy do okrycia — nie mogą się gniewać na Murzyna, że je karmi. Trzeba jednak było się dowiedzieć, skąd się wzięło.

Murzyn siadł u nóg „Dobrego Serca” i zaczął opowiadać, jak to było. Raz w drodze z Polski zatrzymał się obok niskiego domku na przedmieściu. Przez okno zobaczył leżącą kobietę, widać chorą, obok niej leżało niemowlę i płakało. Nędznie tam było i głód ich trapił. Dowiedział się, że mąż tej kobiety bił się tam, gdzie dowodził Generał: pod Dubienką, Raclawicami i Maciejowicami. Kochał Kościuszkę i wiele jej o nim opowiadał. Mąż jej z całą armią dostał się do niewoli. Ona chciała za nim pojechać, ale w drodze przyszła na nią choroba. Czuła, że umiera. Prosiła więc Murzyna, ażeby odszukał jej męża i dziecko mu oddał. Jeżeli nie znajdzie, niech nad nim opiekę roztoczy i powierzy Generałowi. Wszyscy wiedzą, że Kościuszko, tak samo, jak mężczy, — jest i dobry. Matka dziecka niedługo umarła. Ojca Murzyn nie odnalazł. Małe, cóż? Miał go zostawić obcy? Wziął ze sobą. W Ameryce kobieta ta miała krewnych”. Wie Dżon, jak czujące ma serce Naczelnik. Ale jeżeli chce — niech jego ukarze, ale dziecko? Cóż ono winno?

Po tym opowiadaniu zamyślili się wszyscy, a Kościuszko powiedział:

— Do morza go nie wrzucimy. Trzeba sierotą się zająć.

— Były dzieci pułku, wyrastały na doboszów, — przytakiwał oficer. — I z niego pociecha będzie.

— A jak się on nazywa, ten chłopiec? — zapytał Generał.

— Kiedy to dziewczyna, — nieśmiało zwierzył Dżon.

— Nie, tego już za dużo. Nam, wojskowym niepotrzebna dziewczyna, krzyczał oficer.

— Tak, szczególniej taka, która ma dwa i pół lata, — żartował Niemcewicz.

Wszyscy zamilkli. Mała tymczasem rozglądała się ciekawie i zaczęła wołać: wio, wio, i machać ręką, jak na konia — na Murzyna.

— Patrzcie, a przecież w niej ułańska dusza, chociaż baba. W konie się bawi!

— Z nami zostanie i opiekę wszelką mieć będzie, — zdecydował Generał.

Uradowany Murzyn odszedł z małą. Na karteczce miał on napisane imię jej — było Boleśława. — „Boleśława”, pomyślał Kościuszko o swoim losie...

A wieczorem oficer pocieszył służącego Stanisława:

— Bywały też córki regimentu, ścierpimy to, że mała jest kobietą.

Droga Kościuszki do Ameryki wiodła przez Finlandię, Szwecję i Anglię.

Sława naszego Wodza rozniosła się szeroko po świecie, wiadome się teraz stało, że cały świat zna i czci Kościuszkę. Ci, którzy słyszeli, że jedzie do Ameryki, do drugiej jakby swojej Ojczyzny, czekali na niego u wybrzeża. Ludzie zbierali się, żeby go okrzykami powitać. Zwykle na przedzie tłumu stała orkiestra i grała hymn polski, za nią zebrany tłum podnosił czapki i krzychał: „Vivat Polonia”. Dużo pań w długich i szerokich sukniach, które nazywano „krynolinami” i w śmiesznie małych kapotkach na głowie — cisnęło się do bohatera, żeby mu podać bukiet z kwiatów. Wojsko oddawało cześć salutując, gdy przed szpalerem cudzoziemskich żołnierzy przesuwiała się lektyka z rannym Naczelnikiem. Okrzyki powtarzały się też ciągle. Kościuszko cieszył się nimi, — nie dlatego, że jego tak czcili, ale że oddawali przez to hołd Polsce.

Finlandia, Szwecja i Anglia może chociaż w ten sposób protestowały przeciw krzywdom Polski.

Tak samo w Stockholmie, jak Londynie — mnóstwo osób śpieszyło do niego z odwiedzinami. Stowarzyszenia i organizacje składały mu dary. Dużo malarzy chciało go portretować. Rozgłos jego bohaterstwa był wielki i gdziekolwiek poruszał się jego skromny orszak, otaczali go oficerowie w paradnych mundurach i trzymali straż honorową. Przyjmowany był nie jako przedstawiciel narodu, który został pokonany, ale jakby zwycięzca.

Kościuszko odpływał na pokładzie statku „Adriane” — do Filadelfii. Długie godziny podróży spędzał leżąc na pokładzie. Był bardzo pracowity, więc i tam pracował, uczył się, pisał listy. Miał umysł ściśle wykształcony na strategii wojskowej i inżynierii, umysł tak samo wielki, jak wielkie było jego serce.

Niemcewicz, jadący z nim razem do Ameryki, siadł obok i zapytał:

— O czym myślisz? Popatrz na morze, jak pięknie słońce zachodzi.

— Ja nie mogę ani na chwilę zapomnieć Polski. Przypominam sobie pozycje wojsk i przyjaciół.

— Bartosza Głowackiego?

— Tego zawsze w pamięci zachowam. Uczciwy człowiek, wojak odważny. Ot, — bohater.

— Zwyciężylibyśmy, żeby nie to, że nieprzyjaciel miał tyle wojska.

Kościuszkę zamyślił się.

— Pięknie — cały naród się porwał, ale nie pałasze, szable i kosy być powinny, tylko broń palna o wielkiej sile i częstotliwości. Armaty dalekosiężne. Wtedy możnaby zwyciężyć... A jeszcze, żeby mogła być powietrzna broń, latająca. Taką bitwą chciałbym przeprowadzić i zwyciężyć.

— Więcej wierzysz w rzeczy martwe, w maszynę niż w bohaterstwo?

— W Ameryce nauczono mnie cenić technikę. Tam budo-
wałem ruchome mosty na łodziach. Trzebaby wynalazcy, co by samoporuszające się pojazdy wymyślił.

Niemcewiczowi — pocie, taka wojna się nie podobała. Wolał on:

— Wyobraź sobie księcia Józefa nie na arabskim koniu i bez kolorowego munduru. Bitwa straciłaby cały urok, nikt nie chciałby wojować.

— Mówią mi, że dlatego nosiłem chłopską sukmanę, że chłopską mam duszę — nie znam się na szlacheckich gustach. Dlatego nie dali mi za żonę Ludwiki Sosnowskiej, a potem Tekluni Żurawskiej. I chociaż los postawił mnie wodzem, — ja nie cenię tego, co osobne, tylko to, co powszechne. Nienawidzę prawa „Liberum Veto”, a zawsze za większością obstagę. Wolę wyjść z masy, co jest szara, ale ogólna i naprawdę polska. Bratem mi rzemieślnik, mieszczanin, chłop. Nie jest mi obcy Żyd, Murzyn. Wszyscyśmy równi, chociaż różnej rasy i religii, — i jednakowe prawa do wolności mający.

— Tak, ty musisz tak czuć — powiedział poeta — inaczej nie wydałbyś 7/V 1794 roku Uniwersału w obozie pod Połańcem, w którym chłopom dajesz wolność.

„Adriane” przybiła do portu w Filadelfii 18/VIII 1797 roku. Do okrętu podpływały małe stateczki, ażeby powitać Generała. Wśród statków wyróżniał się jeden większy. Tam przedstawiciele miasta przybyli oddać hołd temu, który zwycięsko wal-

czył za wolność Amerykan. Kościuszko odpowiedział że czuje się szczęśliwy, wracając do swojej drugiej ojczyzny. Jechał karetą, ale tłum odprzągnął konie i wśród okrzyków niesiono na ramionach lektykę z Naczelnikiem. Śliczna pogoda, przychylne słońce, uczucie swobody i ta serdeczność, z którą witali Amerykanie Generała, — pozwoliła mu zapomnieć na chwilę o smutnej przeszłości.

Żyło jeszcze wielu przyjaciół z przed osiemnastu laty, którzy dawniej znali Kościuszkę. Gościli go i dogadzali mu, żeby szybko wracał do zdrowia. Na częstych przyjęciach wspominali nie tylko męstwo Generała, ale jego dobre serce. Któż to, jak nie Kościuszko pisał 2/IX 1781 roku, że uomina się o rozdanie odzieży po poległym pułkowniku I. C. Lawrence dla Murzynów. Piszę on:

„Są nadzy, chcą koszul, kurtek, spodni. Skóra ich może nosić dobre rzeczy z równym powodzeniem, jak nasza“. Ale mało który wtedy Amerykanin wierzył, że czarny może być takim samym, jak on, człowiekiem. To rozumieć tylko mogło Dobre Serce Kościuszki.

Za dawne zasługi należał się Kościuszce od rządu amerykańskiego żołd, przyznany jeszcze w 1784 roku. Kongres chętnie mu też wypłacił 18 tysięcy dolarów, co na złote polskie wynosiło 155.000. To zapewniłoby spokojne życie Kościuszce do starości. Nasz wódz zawsze miał jednak sprawy społeczne w pamięci, a dopiero później swoje. Ileż to razy od młodości zrzekał się własnych pieniędzy i pomagał innym?

Teraz Kościuszkę dręczył dług najbardziej dla niego przykry. Oswobadzając go z niewoli Paweł I podarował mu 12 tysięcy rubli. Kościuszko przyjął je nie tylko z myślą o sobie, ale żeby kolegom po broni pomagać. Obecnie najgorętszym jego pragnieniem było odesłać 12 tysięcy carowi, co też uczynił.

Sam mając upodobanie w skromności, a także przez oszczędność zamieszkał w dwóch małych pokojach. Murzyn robił mu potrawy proste i tanie. Pokoju nawet jednego Generała nie kazał opalać, tak że Niemcewicz narzekał, że pisać nie może.

Czasem Dżon, niby nianka, przynosił małą Bolcię. Już umiała chodzić, ale żeby nie upadła — murzyn trzymał ją z tyłu za sukienkę. Wołał: „Wio, wio“, i mała czuła się koniem. A murzyn ogromny stapał za białą dziewczynką. Stawiał

wielkie czarne stopy niezgrabnie, lub biegł truchcikiem, jeżeli maleństwo się spieszyło.

Koń bardzo lubił, kiedy za niego woźnica rżał. Głos dziecka był cienki, za to — jak Murzyn ryknął — brzmiało to imponująco.

Kościuszko, patrząc na tę zabawę często się uśmiechał. Czasem furman Murzyn przemieniał się w konia i galopował, albo skakał. Wtedy Bolcia biegła bezradnie za nim, aż kiedy kucał — siadała mu na karku i tak usadowiona na jego ramionach — teraz ona furman, — wołała wesoło i objeżdżała w koło cały długi pokój.

Już teraz polubił dziecko nie tylko Generał, ale i oficer Libiszewski, a nawet służący Stanisław. Generał co najlepsze przysmaki ze swego stołu dawał małej i obiecywał się nią opiekować i na naukę zapisać pieniądze. Nie miał ich jednak dużo.

Mimo zimna w pokoju schodzili się do Kościuszki jego przyjaciele. Było wśród tych przyjaciół trzech wygnańców z własnego kraju i należących do rodzin nawet królewskich. Jeden z nich — to Ludwik Filip, który został w roku 1832 królem Francji. Często też gościem był dawny jego znajomy Jefferson, teraz na wysokim stanowisku wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Przyjaciele ci dbali, żeby mu było na obczyźnie jak najlepiej. Chcieli kupić dla niego kawał ziemi, tam farmą zwany. Zdawało się, że Generał zapomina o ciężkich chwilach, które kraj i jego spotkały. Nie było to jednak prawdą.

Pewnego dnia przyniesiono mu listy poufne z Europy. Kościuszko był bardzo wzruszony, aż nagle zerwał się z kanapy i stanął o własnych siłach na obu nogach, chociaż jedną miał dotąd bezwładną. Uczuł się już teraz ozdrowionym.

Treść listu zachował w tajemnicy, ale odtąd umysł jego zajęty był nowymi planami. W duszę wstąpiła nowa nadzieja, że jeszcze raz będzie można podjąć walkę o niepodległość Polski. Rodacy na emigracji w Europie wzywali Kościuszkę, byłego Naczelnika Państwa, do objęcia dowództwa.

Kościuszko jeszcze raz postanowił rozumem swoim i doświadczeniem służyć Ojczyźnie.

Murzyn i Niemcewicz patrzyli ze zdumieniem, jak został cudownie uzdrowiony. Spostrzegli, że szepce długo wieczorami z Jeffersonem, jakby się w tajemnicy naradzali.

5-go Maja 1798 roku, nie powiedziawszy nic nikomu — Kościuszko wyjechał w wielkiej tajemnicy z Ameryki. Rano,

jak zwykle, przyniósł mu Murzyn śniadanie i nie zastał Pana. Niemcewicz się rozszalał i gniewał na przyjaciela. Mała Bolcia nie miała przed kim pochwalić się, że klocki układa. Kościuszko znikł.

Wyjechał on do Francji pod przybranym nazwiskiem za cudzym paszportem. Nocą przyjechał do niego Vice-Prezydent i wręczył podrobiony dokument. Chciał tak choć okazać wdzięczność swojego narodu Kościuszce, ażeby mu ułatwić wyjazd do Polski. W zamkniętej karecie przekradali się do portu. Uścisnęli się na pożegnanie. Kościuszko wręczył Jeffersonowi dokument, w którym jeszcze raz, — jak tyle razy w życiu — zrzeka się własnych pieniędzy po to, żeby ludziom pomóc. Jego dobre serce kazało mu oddać te pieniądze, które otrzymał od rządu amerykańskiego — na cele ogólne.

„Grunt dla mnie wydzielony i pieniądze ofiaruję na wykupienie Murzynów, na założenie dla nich szkoły. Proszę też, żeby miał tam swój dom mój służący Murzyn, i jego biała wychowanka — dziewczynka Boli” — dawał zlecenia Generał.

We Francji rozeszła się wieść o powrocie Kościuszki. Politycy obcy i polscy patrioci zaczęli nawiedzać jego ustronne mieszkanie. Odbывały się tam narady. Osoba Napoleona budziła wielkie nadzieje. Zaczęto tworzyć Legiony polskie we Włoszech.

Przypatrzwszy się jednak bliżej sprawom Legionów Dąbrowskiego — Kościuszko tracił wiarę w oswobodzenie Polski. „Cudzą broń mają, mundury z cudzego sukna, cudzy chleb jedzą — więc słuchać muszą chlebobawców, jak słuchają poddany Pana” — mówił.

Już nagła młodzieńcza radość opuściła Kościuszkę, za wiele sam przeżył zawodów. Stał się ostrożny i niedowierzący Francuzom.

Wyznawał dwa hasła: wolność dla narodu, a równość dla wszystkich obywateli kraju. To, co w sobie osiągnął najwyższego i co dał społeczeństwu — to był rozkaz, ogłoszony 7-go Maja 1794 roku w obozie pod Połańcem t. z. Uniwersał, „urządzący powinność gruntową włościan, zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwości”. Było to zniesienie w większości pańszczyzny chłopom. Ta ustawa o równości wszystkich obywateli państwa była mu drogą. W postępkach młodego Napo-

leona już spostrzegął, że nie o równość mu chodzi, lecz o despotyzm.

Zaproszono Kościuszkę, żeby rozmówił się z Bonapartem. Już nie z jednym panującym mówił ten człowiek, ubogi z pochodzenia. Jego czyny, osobisty rozum zrównały go z monarchami. Kościuszko wielokrotnie widywał się ze Stanisławem Augustem. Król go nie lubił, — może się bał „Amerykanina”? Później Kościuszko przeprowadził rozmowy z Pawłem I. Teraz o Polskę musiał się prawować, jakoby jej ambasador, dawny Naczelnik, z przyszłym cesarzem Francji.

Z Napoleonem rozmowa była przykra. Ci dwaj wodzowie jakże byli niepodobni do siebie z charakteru! Każdy z nich też w czym innym widział słuszność. Kościuszko coraz więcej przesunął się na tę stronę, gdzie jest pokora i dobroć, — a Napoleon — gdzie jest siła i pycha. Bonaparte nie chciał złożyć żadnych zobowiązań wobec Polski. Tymczasem Polacy, co młodszy, widzieli jedyną możliwość odzyskania niepodległości Polski z pomocą Francji.

20/XII 1806 roku wkracza Napoleon do Warszawy, w niedługim czasie powstaje Księstwo Warszawskie — część niepodległej polskiej ziemi.

W ślicznym ogrodzie, około zamku Berville w okolicy Fontainebleau, często spotkać można było szczupłego starca; sam uprawiał on ziemię i zbierał owoce. Ubrany był skromnie, bez żadnych oznak. Mówił cudzoziemskim akcentem. Ludzie nawet nie znający go — zdejmowali z czcigł. kapelusze, gdy go mijali. Dzieci biegły naprzeciw niego, bo miał zawsze pełne kieszenie łakoci. Zebracy odkrywali głowy z uśmiechem, bo wiedzieli, że człowiek ten nigdy ich nie pominie, żeby nie podzielić się tym, co mu jeszcze zostało. Nie tylko dawał jałmużnę, ale i dobre słowo. Los każdego nieszczęśliwego był mu bliski. I tu za nim przyszło zasłużone przezwiśko: Dobre serce.

Tym starcem był Kościuszko. Tak spędzał ostatnie lata, mieszkając u przyjaciół swoich, Szwajcarów — Zeltnerów. Noga przestrzelona utrudniała mu chodzenie — to też ludność miejscowa ofiarowała mu konia przez wdzięczność. Koń nie był taki rączy, jak dawne, których dosiadał Generał w kraju, — raczej stary, jak jego jeździec. Ale Kościuszko miał zawsze przy sobie szpicrutę, którą bardzo lubił.

Pewnego dnia do drzwi Zeltnerów zastukał podróżny.

Chciał się zobaczyć z Generałem. On to opowiedział historię owej szpicruty.

Był małym chłopcem i widział, że w domu braknie chleba. Ojciec rymarz nie miał wcale roboty. Raz wyszedł on z domu bardzo zasmucony, — aż tu tłum ludzi spotyka.

— Nie rozpoczaj, — pocieszają rymarza rzemieślnicy. — Kościuszko jest w Warszawie, będzie nam lepiej. — Nazajutrz rymarz poszedł do Pałacu Błękitnego, gdzie Naczelnik miał kwatere. Kazał wszystkim do siebie wpuszczać...

— Czego chcesz, obywatelu? — Kościuszko zapytał.

— Pomocy. Jestem rymarzem, a nie mam roboty. Musiałem wyprzedać wszystkie narzędzia, ażeby za to żywić dzieci. Mogę robić tylko szpicruty.

— Szpicruty, — zawołał Kościuszko, — zrób mi ich kilka, sam się po nie zgłoszę.

Generał o danym słowie pamiętał. Po paru dniach, zwiedzając okopy — skierował się przez ulicę Freta. Towarzyszył mu cały sztab oficerów. Wziął szpicrutę i hojnie zapłacił.

— Ja tu zawsze kupuję, są najlepsze w Warszawie, — powiedział do oficerów. Oficerowie rzucili się naśladować Wodza. Odtąd rymarz stał się bogaty. Zawsze wspominał Dobre Serce Naczelnika.

Podróżny opowiadał w gronie dzieci Zeltnerów. Dziewczynka dwuletnia, podobna do Bolci, siedziała niby na koniu na jednym kolanie „dziadzia”, jak nazywała Kościuszkę; starsi jej bracia zaraz zaczęli się bawić w rymarza.

Prawdziwa Bolcia dorosła i wyszła za męża. Dżon umarł. Kościuszce zostały już tylko listy od sióstr i tęsknota za krajem. Był sam wśród obcych.

Otoczony wciąż okolicznych chłopów, w rodzinie przyjaciół, dnia 15/X 1817 roku w Szwajcarii, w miejscowości Solurze kończy życie Tadeusz Kosciuszko.

Bydąc w Szwajcarii zapytał Słowacki znajomych, czy pamiętają Generała.

— Ach, jak dobre miał serce, — i opowiedziano mu:

„Po śmierci Kościuszki jeden z obywateli kupił po nim konia, na którym stary Kościuszko często jeździł, lecz koń u nowego pana, ilekroć go wioził drogą, zatrzymywał się i stawał przed każdym żebrakiem, tak go dawny Pan przyzwyczał

rozdawaniem jałmużny. Nowy nabywca znudził się takim narowistym koniem i odprzedał go innym”.

Duch Kościuszki jednak żyje zawsze pomiędzy nami. Wyznawane przez Kościuszkę zasady: **równości wszystkich ludzi bez różnicy stanów i ras i prawo do stanowienia o sobie każdego narodu**, — i dziś jest najwyższą miarą moralności, która obowiązuje świat.

Halina Maria Dąbrowska

— Kościuszko nie żyje!

Żałobna wieść głośnym echem ozwała się nie tylko w Polsce, ale na całym świecie.

Kongres amerykański umieścił popiersie Kościuszki w sali swych obrad, a młodzież studiująca w akademii wojskowej w West-Point wzniosła mu pomnik marmurowy z wymownym napisem: „Bohaterowi dwóch światów”.

W lipcu 1918 r. sprowadzono prochy Kościuszki uroczystie do Ojczyzny i złożono w królewskich grobach na Wawelu. A przez lat trzy sypał mu naród własnymi rękoma pomnik-mogilę pod Krakowem, jakiej nie posiada żaden z koronowanych i znakomitych królów polskich.

I czemuż naród tak czcił Kościuszkę? Czemu po dziś dzień imię jego miłuje i błogosławi?

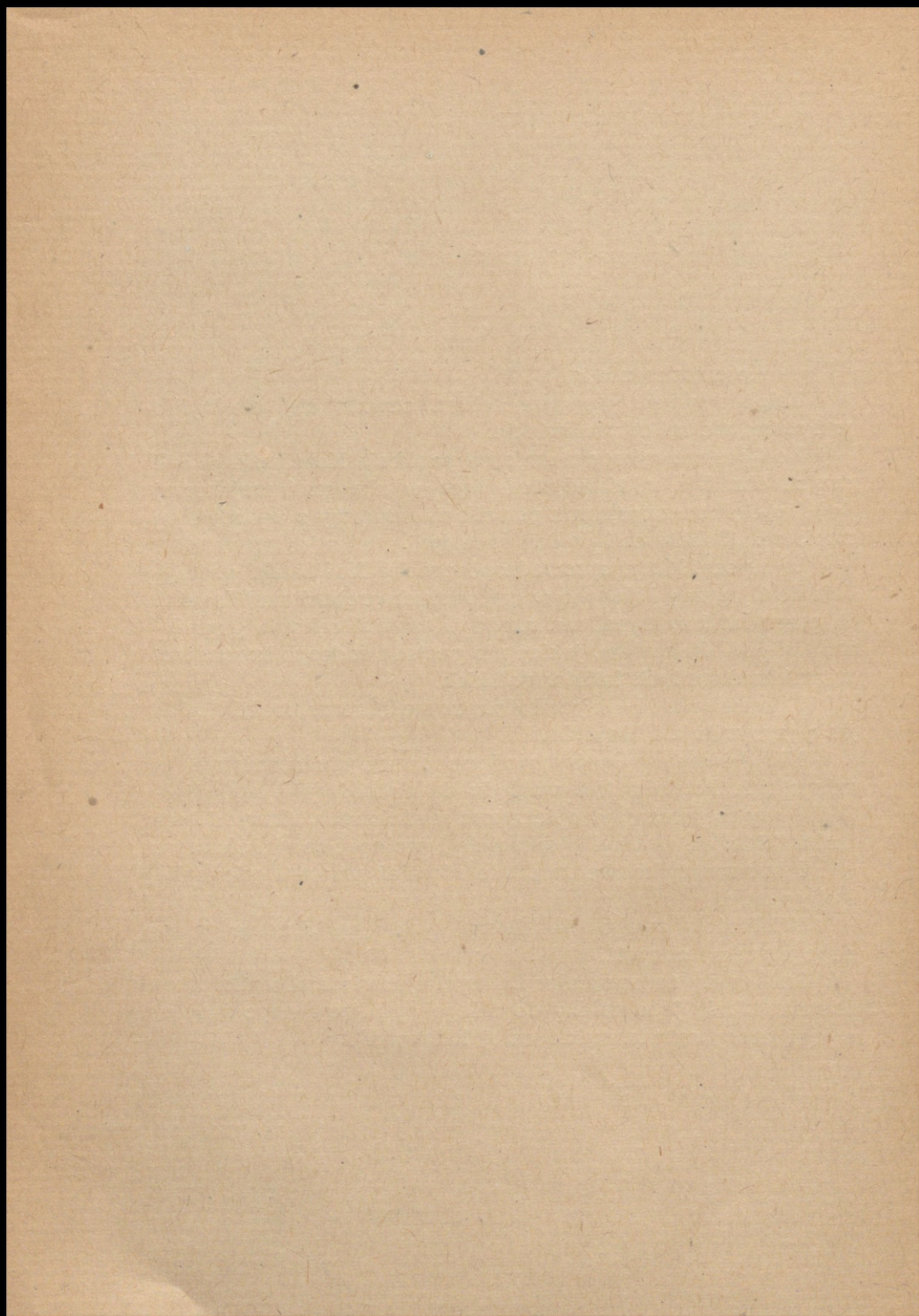
Nic dziwnego! On był wodzem całego społeczeństwa — wszystkich Polaków bez względu na pochodzenie, wykształcenie czy majątek, był opiekunem uciśnionych, przyjacielem maluczkich, on walczył o szczęście i wolność całej Polski.

I był nie tylko wodzem, ale również wzorem człowieka i obywatela.

Wielkością swego charakteru zyskał uwielbienie własnego narodu i obcych.

Znakomity cudzoziemiec Laffayette powiedział o nim prześlicznie: „Imię jego należy do całego cywilizowanego świata, a jego cnoty są własnością całej ludzkości”.





SPIS TREŚCI:

W rycerskiej szkole — I. Barowa	str. 5
Mój pułkownik — Z. Turowska	„ 31
Spotkania z Panem Kościuszką — H. Mortkowicz- Olczakowa	„ 55
Dobre serce — H. M. Dąbrowska	„ 75





2773 / 2

11.18.47